

Rekolekcje Bractwa Świętego Józefa online

7-8 sierpnia 2020

Notatki z Wprowadzenia Księdza Juliána Carróna

Piątek wieczorem, 7 sierpnia 2020

Na wejście: *Franz Schubert – Trio fortepianowe op.100 nr 2; Spirto Gentil CD 14**

Na początku tego naszego gestu prosimy Ducha Świętego, by otworzył na oścież całe nasze człowieczeństwo, całe nasze serce, nasz rozum, naszą miłość, abyśmy, dzięki temu otwarciu, mogli przechwycić sposób, w jaki On się uobecnia pośród nas, w głębi naszego jestestwa, i aby On rzeczywiście mógł nas wyrwać z tej nicości, która tak często przenika nasze egzystencje, przesączając się do najtajniejszych ich zakamarków.

Discendi Santo Spirito

1/ *Far finta di essere sani (Udawać, żeśmy zdrowi)* – *Giorgio Gaber*

2/ *Luntane, cchiù luntane*

“Cóż bowiem za korzyść odniesie człowiek, choćby cały świat zyskał, a na swej duszy szkodę poniósł?” (Mt 16, 26). Trudno znaleźć zdanie bardziej od tego syntetyczne wyrażające spojrzenie Chrystusa na człowieka, na naszą ludzką wielkość. To pytanie jest zaproszeniem, abyśmy sobie zdali sprawę, że nawet, gdybyśmy świat cały zdobyli, ale samych siebie zgubili, w życiu dobrego interesu z pewnością nie przybiliśmy.

Od samego początku, tym zdaniem włożył On nam w ręce – wstrząsnawszy nami i do dziś nami wstrząsając – kryterium osądu w procesie porównywania wszystkiego, co pojawia się w obrębie horyzontów naszego życia. Tymi słowami Jezus nam mówi jak Bóg nas rzuca w wir rzeczywistości, w uniwersalne porównywanie siebie ze wszystkim, bo mamy w sobie ów czujnik, to nasze człowieczeństwo będące tak wielkie, tak niezmierne, że dreszcz nas przenika na samą o nim myśl. Ktoś może nie słyszeć pytanie, które Jezus doń kieruje, ale – jak śpiewa Gaber – nie jest w stanie uniknąć nieustannego porównywania siebie, takim jaki jest, porównywania tego kim każdy a nas jest, z wszelkimi wyobrażeniami spełnienia, z odpowiedziami, które sobie wynajdujemy. Mężczyzna może kupić motocykl, „rama i kierownica chromowane, z mnóstwem tłoków, przycisków i przedziwnych akcesoriów”; przeciętna kobieta może sobie kupować „naszyjniki i kremy do rąk” i wszyscy możemy „udawać, żeśmy zdrowi”; ktoś może odsuwać to po kres życia, gawędząc i zabawiając się „grupą studiów, masami, [...], lekturami” najróżniejszego gatunku, udając, że jest zdrowy; może planować podróże do dalekich krajów; ale nie może uniknąć dokonania tego porównania. Bo ono doprawdy jest nieuniknione. Pomyślmy, jak przejmującym dreszczem odzywa się w nas *Luntane, cchiù luntane [Dalekie, jakże dalekie są gwiazdy]* i nie możemy udawać, że w nas nie ma tej wielkości, o której mówi Jezus. Stąd jasnym jest, że nie było w historii nikogo innego, kto tak przepotężnie by potwierdził człowieczeństwo każdego z nas.

*„Słuchanie tego nadzwyczajnego *Trio* Schuberta jeszcze bardziej objawiło mi, że odkrycie znaczenia, sensu jakiegokolwiek rzeczy staje się możliwym dla spojrzenia pełnego, takiego, które lepiej może zawrzeć w sobie całość przedmiotu czy podmiotu, które dana osoba ma przed sobą, [...] To *Trio* wyraża pragnienie pójścia do dna rzeczy i, jednocześnie, świadomość ubóstwa środków do dyspozycji: stąd ów trawiący smutek” (Ksiądz Giussani)

Kim jest człowiek? Kim ja jestem, że mogę cały świat zdobyć, a siebie zatracić? Aby z tego sobie zdać sprawę, każdy z nas może zrobić listę rzeczy, z pomocą których próbował „zarabiać” samego siebie – w rodzaju listy Gabera –. Ile razy żyjemy imaginacją, uginamy się pod jarzmem obrazów dyktowanych mentalnością większości; bo taki obraz nie zbiega się z rzeczywistością, którą stanowimy, nie pasuje do niej. Odkrycia dokonujemy nie kiedy sprawy źle idą, lecz – jak nieustannie powtarzam – kiedy dzieje się tak, jak chcieliśmy, kiedy zdołamy zorganizować podróż czy projekty, które zamyślały.

Niedawno jeden z przyjaciół z Kazachstanu, który współuczestniczył w konferencji online, opowiadał całej wspólnoty, że jego próby doszły do skutku, lecz czego doświadczył? Że – i to było dla niego oczywiste – coś tu się nie zgadzało. To właśnie, podobnie jak on, każdy z nas odkrywa żyjąc. Nie trzeba daleko wyjeżdżać, szukać nadzwyczajnych miejsc. Żyjąc po prostu codziennym życiem, w naszym JA w działaniu dokonujemy zaskakującego odkrycia: jak to Imię – Jezus – jest w stanie całkowicie wypełnić nasze człowieczeństwo. Przyjrzelśmy się temu niedawno, od momentu, gdyśmy się spotkali na Adwentowych dniach skupienia. Rzucone nam zostało potężne wyzwanie, prowokacja bez precedensu w postaci Koronawirusa i następującego po wybuchu epidemii *lockdown*, ze wszystkimi tego konsekwencjami, które dalej trwają, bo, jak widzimy, jeszcze się to nie skończyło. To jest okoliczność, której nie wybraliśmy i którą dzielimy wszyscy, ponieważ nikt od niej uciec nie mógł i nie może. Od samego początku zmierzaliśmy się z tą niespodziewaną sytuacją utożsamiając się ze spojrzeniem Księdza Giussaniego. Rzeczywistość wylania się przed naszymi oczyma. Jeśli obserwujemy „strukturę reakcji”, którą każdy z nas ma wobec rzeczywistości, dostrzegamy czynniki, które są naszym tworzywem. Stąd pierwszą rzeczą, do której jesteśmy przywołani, jest obserwacja siebie w akcji. Jeśli weźmiemy pod uwagę dynamikę człowieczeństwa, której, w zderzeniu z rzeczywistością, każdy z nas doświadczył i doświadcza, zauważymy jak to zderzenie wprawia w ruch mechanizm ujawniający tworzące nas czynniki. Niestety, ileż to razy nie idziemy za Giussanim, bo zdaje się nam, że wszystko to już wiemy, albo nie pojmujemy doniosłości tego, o czym świadczył, i tracimy w ten sposób okazję zobaczenia, jak w życiu codziennym, na naszych oczach, wychodzi na jaw kim jesteśmy, jakie są czynniki naszego życia, naszego jestestwa, kim jest człowiek jakim ja jestem i który może zdobyć cały świat, a zatracić siebie.

A więc, choćby w tych dniach, pozwólmy się prowadzić za rękę przez Księdza Giussaniego w obserwacji tego, co się w nas dzieje, co się w tym okresie stało, uważając na wpływ, jaki na nas wywarła ta rzeczywistość, która tak potężnie wdarła się w życie. Cośmy odkryli? To decydujące, bo jak mówi Ksiądz Giussani, „ktoś, kto słabo przeżył lub miał niewiele okazji zderzenia się z rzeczywistością i mało się natrudził w życiu, będzie miał słabe poczucie swej świadomości, nikłą percepcję energii i wibracji swego rozumu” (*Zmysł religijny*). To oznacza, że nie dostrzeże owej wibracji czynników będących tworzywem jego JA.

Pierwszą rzeczą do wzięcia pod uwagę jest to, że rzeczywistość nas prowokuje w sposób niemożliwy do sprowadzenia do naszych przemyśleń: jest uparta, jest czymś nam danym, czego nie możemy wymazać, czego nie oswoimy, czego nie da się zredukować do naszej miary. Starczy pomyśleć jak, podczas tych miesięcy, każdy z nas miał tysiąc myśli o tym wirusie z jego wszystkimi konsekwencjami, o sposobach stawienia mu czoła: rzeczywistość okazała się uparta i zmusiła każdego z nas do zmierzenia z nią naszych myśli, z tymi realiami, które nie przestawały nas zaskakiwać ich nieuprzedzalnością.

Widzieliśmy, że rada Giussaniego nic innego nie robi od opisanego, jak obserwator rzeczywiście uważny na to, co się dzieje, jest prowokowany, by uznać wychowawczą potęgę rzeczywistości. O ile jesteśmy gotowi do posłuszeństwa, to znaczy by nie udawać, że nic wielkiego się nie dzieje,

gotowi zdumieć się i zadziwić, wyrzucić z siodła, skorygować, aż po – jak powtarzał Książd Giussani cytując Jeana Guittona – „poddąć rozum doświadczeniu”, nasze myślenie przeżywanemu doświadczeniu. Ileż to razy, w tych miesiącach, na własnej skórze poczulśmy prawdę często powtarzanego przez nas zdania Shakespeare’a: „Więcej jest rzeczy na niebie i na ziemi, Horacjuszu, niżli w twej filozofii”.

To, paradoksalnie, pozwoliło wypłynąć naszemu człowieczeństwu, naszej kruchości, ograniczoności, na powierzchnię świadomości, ale jednocześnie i naszym niepokojom i pytaniom. Poczulśmy potęgę wibracji naszego rozumu, który nie zadowala się byle jakim tłumaczeniem, bada, docieka nieustannie, póki nie natrafi na adekwatną odpowiedź. Im bardziej ktoś pozwoli, by go do żywego dotknęło, tym silniej objawia się jego oczom, aż potąd, że mu słów braknie, „przedwieczna Tajemnica naszego jestestwa”, której Giacomo Leopardi miał głęboką i dojmującą świadomość. Im bardziej doświadczamy zderzenia z rzeczywistością, tym bardziej objawia się nasza prawdziwa natura, ze swą słabością, a jednocześnie z całą swą wielkością. „Natura ludzka, skąd to, że, choć takaś krucha i nędzna, choć pyłem jesteś i cieniem, tak górnie czujesz?” (Leopardi).

A więc się pytam: jaką zarobiliśmy świadomość? Owa świadomość włoskiego poety była do tego stopnia bliska Giussanemu, że powtarzał bardzo często, iż nie natknął się na towarzysza drogi, u którego by napotkał podobną swojej wibrację człowieczeństwa – jedynie w Leopardim.

Powtarzam: czegośmy się nauczyli od rzeczywistości? Czegośmy się dowiedzieli u naszym człowieczeństwie? Dlaczego my nie przeżywamy takiej dramatycznej więzi z rzeczywistością? Nie zaistnieje ludzkie doświadczenie, jak jedynie w rezultacie zderzenia z okolicznościami, które nas prowokują, budzą nas, rzucają nam wyzwanie. Życie nigdy nie jest statyczne. Wielokroć chcemy uciekać, ale uniknąć nie możemy pozostawania bez przerwy na scenie świata, w rzeczywistości. Nigdy za kulisami, zawsze na jej deskach! Jak już podkreśliłem, człowiek zauważa czynniki, które go budują, obserwując siebie w działaniu, w dynamice własnego człowieczeństwa w akcji, w swym czynnym stosunku do rzeczywistości. Rzeczywistość, jakakolwiek, niezależnie od tego jak się przed nami pojawia, jakie ma oblicze, jakie na nas robi wrażenie, jest zawsze dobrem – bo pozwala, by objawiały się czynniki tworzące nasze JA. Ale pod warunkiem, że choć odrobinę jesteśmy gotowi być posłusznymi reperkusji uderzenia, które nami do głębi wstrząsa.

Ile razy na mojej skórze się nauczyłem, jakim dobrem dla mnie była rzeczywistość! Nie, że mi się to przyśniło: niezależnie od oblicza, z którym mi się pokazywała, trwała zawsze przede mną, prowokowała mnie i zmuszała do stawienia jej czoła. Jak to jest pisane każdemu, tak i w moim życiu się stało, przygoda coraz bardziej fascynująca, ponieważ wszystko zaczęło się stawać życiowym towarzyszem. Rzeczywistość poczyniała być przyjazna, jakakolwiek rzeczywistość okazywała się przyjaciółką. Wszyscy, którzy wchodzili na scenę rzeczywistości, byli przyjaciółmi, niezależnie od tego czy mieli rację, czy też byli w błędzie, mieli twarz piękną czy szpetną, powodowali nieustanne objawianie się mego JA. Na tej zasadzie, wyzwanie, które przeżyliśmy i dalej przeżywamy, nas przebudziło – paradoksalnie – z odrętwienia, w którym tak często wegetujemy.

Jak to powiedziała pewna dziennikarka, za długo żyliśmy pod narkozą, będąc częścią systemu zbyt często błędnego od samych fundamentów. Lecz są chwile, w których rzeczywistość w nas uderza tak silnie, że doprawdy trudno złagodzić cios, uniknąć, ominąć czy zlekceważyć prowokację. To, co się wydarzyło, przebudziło, z udziałem naszej wolności, naszą uwagę. Wprawiło w ruch cały nasz rozum, w wibrację nasze wyrażające prawdziwą naturę rozumu pytania o sens. Obnażyło nie cierpiące zwłoki pragnienie, które jest tworzywem naszego JA – pragnienie poznania znaczenia; naglące pragnienie, które, przez twardą, surową rzeczywistość, w tak potężny sposób zostało wypchnięte na powierzchnię. Stąd też w tych dniach jest, dla każdego z nas, sprawą rozstrzygającą obserwować siebie, żeby zauważyć strukturę naszych reakcji na dane nam okoliczności. Jak często usiłujemy uciekać, wymykać się rzeczywistości przez rozrywki, marzenia, fantazje, które sami sobie konstruujemy. Albo od niej uciekamy i kończymy zasklepieni w jakiejś bańce, bo nam się zdaje, że schronimy się przed jej ciosami. Lub też odmawiamy posłuszeństwa prowokacji, nie pozwalamy, by rozum wypłynął na powierzchnię, z całym jego przyrodzonym

parciem do poznania znaczenia. Stąd – ujmując to twardym zdaniem Ksiądz Giussani – zachodzi coś, co bliskie jest „zabójstwu człowieczeństwa”. Cokolwiek się wydarza, wymaga wyczerpującego wytłumaczenia, lecz my wolimy zatrzymać się na reperkusjach sentymentalnych, stwierdzając: „to jest piękne, brzydkie, przyjemne, przykre”, zamiast podjąć rękawicę rzuconą nam przez rzeczywistość. I widzimy w ten sposób, jak wygrywa coraz bardziej nihilizm, który nas zmusza do uważania rzeczywistości za nicość. Bez zaakceptowania prowokacji rzeczywistości stajemy się coraz bardziej krusi, słabi, coraz mniej świadomi tych wszystkich czynników, które są budulcem naszego JA. Tak jakby wszystko współpracowało, aby nas spłaszczyć, zamiast nas wynosić. Ktoś mi opowiadał, że, zwracając się do pewnej osoby chorej, przekazywał słowa, któreśmy cytowali: „zatrzymać się i pomyśleć”. A ten chory, ze swego łóżka, poprawił to wyrażenie, kończąc: „zatrzymać się, pomyśleć i patrzeć!”. I dodał: „Im częściej się zatrzymuję, by pomyśleć, im więcej się urzeczywistnia ta dynamika, tym bardziej patrzę na wszystko w inny sposób, wręcz sobą samym się zdumiewam, zaskakuje mnie moja żona, rzeczywistość, wnuki, moje dzieci”. Jakże to robi wrażenie, gdy posłuszni jesteśmy sposobowi, w jaki Tajemnica uczyniła wszystko, nadal to robi, nas powołuje!

Nieraz się zdarza to, o czym mówi Chesterton: „Jedynie wtedy, gdyście na serio się rozbili i zatopili, tak naprawdę odnajdziecie to, czego na serio wam potrzeba”. No tak, jesteśmy tak głęboko w owej bańce, że naprawdę nie zdajemy sobie sprawy z tego, co nas otacza.

Im bardziej wypływa na powierzchnię całe pragnienie znaczenia, gwałtowna potrzeba odpowiedzi, tym prawdziwiej możemy zrozumieć to, co czytamy w Liturgii. W tym sensie, poruszył mnie ostatnio tekst z proroka Izajasza: „O, wszyscy spragnieni, przyjdźcie do wody, wy, którzy nie macie pieniędzy, przyjdźcie [tak samo], kupujcie i spożywajcie [...] bez pieniędzy [...] wino i mleko!” (Iz 55, 1). Oto pragnienie, z któregośmy zrobieni. Kiedy żyjemy, zderzenie z rzeczywistością od wewnątrz nas popycha, z całą swą mocą, byśmy szukali odpowiedzi, która rzeczywiście jest w stanie nas napoić. To nie ma nic wspólnego z pieniędzmi. Chodzi po prostu o posłuszeństwo pragnieniu, które wewnątrz nas odnajdujemy. Ponieważ to właśnie pragnienie – to nam powtarza na różne sposoby Pismo Święte, i za każdym razem egzystencjalnie nalegając przepotę – jest kryterium osądu pozwalającego nam na rozpoznanie tego, co nas autentycznie może napoić. Dlatego prorok rzuca nam wyzwanie: wy którzy tak pragniecie, dlaczego pieniądze wydajecie na coś, co nie jest chlebem, wasz zarobek na to, co nie nasyci? Na co się zda człowiekowi, że cały świat zdobędzie, jeśli samego siebie zgubi? Dlaczego wydajemy pieniądze, życie trwonimy, to cośmy zyskali, na coś, co nie nakarmi, nie nasyci? Właśnie to chce nam powiedzieć prorok Izajasz: że mamy wewnątrz kryterium osądu, aby rozpoznać, co syci ten głód, poi to pragnienie, będące budulcem naszego JA. Nie brak nam tej zdolności, i nigdy nam jej nie zabraknie. Chcąc nie chcąc, zawsze popychani będziemy, by poznać i uznać to, co nas syci. Jak twierdzi Lewis: „Rzecz, która mi się podoba w doświadczeniu, to fakt, że jest ono tak uczciwe”. Szachrować się nie da: „Możecie sto razy skrócić w błędną drogę; ale trzymajcie oczy otwarte, a to wam nie pozwoli zajechać za daleko i nie dostrzec na czas znaku drogowego”. Sami zorientujecie się, czy jedziecie w słusznym kierunku, czy też pomyliliście kierunek. „Mogliście samych siebie oszukać, ale doświadczenie nie chce was oszukiwać”. I kończy Dostojewskij takim przepięknym zdaniem dodającym nam odwagi: „Wszechświat odpowiada prawdziwie, gdy go uczciwie pytacie”.

Więc jakie jest to kryterium? Jest nim nasze człowieczeństwo – jak już mówiliśmy na Adwentowych dniach skupienia –. Ono wcale nie jest czymś, co nas dręczy i koniec, ciężarem, który wbrew sobie taszczyć musimy, przepaścią bez dna, której niestety nie sposób zappełnić, nie jest czymś, co utrudnia i płacze naszą więź z rzeczywistością. Wręcz przeciwnie, właśnie nasze człowieczeństwo jest tym kryterium, które nam pozwala wszystkimi się interesować, przechwycać wibrację każdej rzeczy, jak to się zdarzyło owemu choremu, który jeszcze lepiej mógł zdać sobie sprawę kim są, co oznaczają jego żona, jego dzieci.

Zawsze wzbudzały mój entuzjazm momenty, gdy zdawałem sobie sprawę, iż istnieje we mnie zdolność osądu, siła wibracji. Wielokrotnie powtarzam, że tym, co mi życie uratowało, była owa lojalność wobec mego wibrującego człowieczeństwa, z którym nigdy nie chciałem pójść na kompromis, lecz decydowałem się, by być mu posłusznym, uznając je, w jakiegokolwiek bym się

znajdował sytuacji. I tak odkryłem, że ten całokształt wymogów i bezspornych oczywistości będących we mnie jest probierzem, wskaźnikiem dla osądu wszystkiego, co się zdarza. Zachwycające jest to, co mówi Dostojewskij: „Można się pomylić w sferze idei, ale niemożliwym jest, by serce pobłądziło i byśmy przez pomyłkę stracili z oczu nasze sumienie i samoświadomość”.

Dlaczego to jest takie decydujące? Dlaczego okoliczność, przez którą się obecnie przedzieramy, okazuje się tak decydująca? Dlatego, że przebudziła z odrętwienia i opieszałości nasza JA. Dlatego, że jedynie gdy nasze JA się obudzi, wyrwane z zamętu, w którym jakże często żyjemy, z nihilizmu, który nas przenika, zdołamy przechwycić prawdę. Ileż razy nasze zagubienie nie zależy tyle od, pozornej, nieobecności prawdy przed nami. Prawdziwą przyczyną jest nasz brak zdolności przechwycenia prawdy, poznania jej i uznania, bo do tego stopnia zakrzepliśmy w tym odrętwieniu, że wydaje się nam, jakoby prawda nic nam nie mówiła. Natomiast, gdy ktoś ma człowieczeństwo całe przebudzone, jakkolwiek poturbowane i zaniedbane, ale całkiem obudzone, może prawdziwie przechwycić głos Pana, który wszedł i wchodzi w rzeczywistość i odpowiada. Ciągnie dalej prorok Izajasz: „Słuchajcie Mnie, a jeść będziecie przysmaki i dusza wasza zakosztuje tłustych potraw. Nakłońcie wasze ucho i przyjdźcie do Mnie, posłuchajcie Mnie, a dusza wasza żyć będzie” (Iz 55, 2-3).

Bóg pojawia się w historii jako Obecność, która stawia sobie jedno tylko zadanie: odpowiedzieć na to pragnienie, na to naglące pytanie, które rzeczywistość nieustannie w nas budzi.

Ale gdzież jest ten Bóg? Gdzie Go możemy odnaleźć?

Odnaleźć go możemy w świadku, w kimś, w kim widzimy, jak On się wydarza.

Dalej mówi prorok Izajasz: „Zawrę z wami wieczyste przymierze [ale gdzie? Jak możemy je poznać? Poprzez co?], niezawodnie łaski dla Dawida. Oto ustanowiłem cię świadkiem dla ludów, dla ludów wiodem i rozkazodawcą.” (Iz 55, 3-4).

Możemy Go zobaczyć w naszej przynależności do ludu, w którym są świadkowie jak Dawid. Możemy dostrzec, że Pan ustanowił to przymierze, nie bo wygłosił jakieś przemówienie, lecz ponieważ widzę, że On wydarza się w kimś, kto mnie pociąga, a ta jego obecność wzbudza we mnie pełne pragnienie posłuszeństwa temu zdarzeniu. To jest tak widoczne, że Go rozpoznają osoby, których dotąd nie znałem. Świadek swą obecnością przyciągnie ludzi, których pierwszy raz widzi, a którzy zauważą to, co on w sobie niesie. I dalej prorok Izajasz: „Oto zawieszysz naród, którego nie znasz”. Wezwiesz go twoim życiem, twą obecnością, sposobem twej przynależności. Wezwiesz ludzi, których nie znałem, osoby czujne, uważne, by dostrzec obecność, w której można podchwycić nadzieję dla życia. „Oto zawieszysz naród, którego nie znasz, i ci, którzy cię nie znają, przybiegną do ciebie ze względu na Pana, twój Boga, przez wzgląd na Świętego Izraelowego, bo On cię przyozdobi” (Iz 55, 5).

Im wyraźniej ktoś ma przed oczami Pana tak żadnego odpowiedzieć na pragnienie serca, tym więcej nabiera odwagi, aby Go szukać. “Szukajcie Pana”, mówi prorok, “gdy się pozwala znaleźć, wzywajcie Go, dopóki jest blisko”.

Ale, żeby Go szukać, potrzebne jest to posłuszeństwo, które nieraz idzie pod prąd powszechnej mentalności. Bo rzeczywiście wielu jest takich, co wolą pozostawać płaskimi, gdyż wydaje im się nierealną hipotezą istnienia kogoś, kto nami się interesuje, kto jest w stanie odpowiedzieć na krzyk naszego pragnienia. Tu trzeba zmiany sposobu myślenia: “Niech się nawróci do Pana, a Ten się nad nim zmiłuje, i do Boga naszego, gdyż hojny jest w przebaczeniu. Bo myśli moje nie są myślami waszymi ani wasze drogi moimi drogami - wyrocznia Pana” (Iz 55, 7-8).

Tajemnica wyzwania nam rzuca, używając metody, która jest dla nas wstrząsająca. Jego zamysł zdaje się nam tak odległy, tak od naszego sposobu myślenia daleki, że uwierzyć nie możemy Jego wezwaniom, myślimy, że jesteśmy bardziej realistami od samego Pana Boga. Mówimy sobie: “Chyba nie jesteśmy naiwni do tego stopnia, aby uwierzyć takiej przesadnie wielkiej obietnicy!”. Wolimy dreptać naszymi dróżkami, bo Jego drogi czujemy zawrotnie dalekie od naszych. No właśnie! Tak to właśnie jest! “Bo jak niebiosy górują nad ziemią, tak drogi Moje - nad waszymi drogami i myśli Moje - nad myślami waszymi” (Iz 55, 9).

Jakiej trzeba uczciwości, by zaufać obietnicy! Jedynie kto ma taką śmiałość, będzie mógł ujrzeć ją spełnioną, zobaczy obietnicę urzeczywistnioną. "O tak, z weselem wyjdziecie i w pokoju was przyprowadzą. Góry i pagórki przed wami podniosą radosne okrzyki, a wszystkie drzewa polne klaskać będą w dłonie. Zamiast cierni wyrosną cyprysy, zamiast pokrzyw wyrosną mirty" (Iz 55, 12-13). W owej przemianie, w tym rozkwicie życia objawi się prawda Boża. "I będzie to Panu na chwałę, jako znak wieczysty, niezniszczalny!" (Iz 55, 13).

I to właśnie Pan nas zaprasza, byśmy nie byli naiwni i nierozumni na drodze, którą za Nim idziemy. Kto przystaje na to, by iść za Nim, będzie mógł sprawdzić, czy i jak spełni się obietnica: zamiast cierni wyrosną cyprysy, zamiast pokrzyw wyrosną mirty. Rozkwitnie życie. Kto za Nim idzie i jest Mu posłuszny, zadziwi się własnym rozkwitem, i w ten sposób Pan objawi Swą prawdę. Jego chwałą jest właśnie ten blask Jego prawdy. Oto znak Jego zwycięstwa. Chwała Pana jest znakiem wieczystym i niezniszczalnym. Stąd kto Go spotkał, nie może – jak śpiewa Psalm – nie mieć oczu otwartych, w oczekiwaniu, bo tak jest pewny tego, że prędzej czy później On odpowie. "Oczy wszystkich oczekują Ciebie, Ty zaś dajesz im pokarm we właściwym czasie", podług zamysłu, który nie jest naszym zamysłem: "Ty otwierasz swą rękę i wszystko, co żyje, nasycasz do woli, [...] [ponieważ] Pan jest blisko wszystkich, którzy Go wzywają, wszystkich wzywających Go szczerze" (Ps 146).

Dlaczego spotkanie z taką rzeczywistością, która budzi wszystkie nasze potrzeby, jest do tego stopnia decydujące dla przechwycenia głosu Pana i rozpoznania, uznania Jego obietnicy? Ponieważ – jak powiedział Ksiądz Giussani – "my chrześcijanie w tym współczesnym klimacie zostaliśmy oderwani nie tyle od formuł chrześcijańskich, bezpośrednio, nie tyle od rytuałów chrześcijańskich, bezpośrednio, nie od praw chrześcijańskiego dekalogu, bezpośrednio. Zostaliśmy wyrwani z ludzkich fundamentów [...]. Mamy jeszcze wiarę, która jednak już przestała być religijnością [...], [wiarę, która nie odpowiada na pilne potrzeby człowieka i w rezultacie nie jest świadoma], wiarę pozbawioną 'inteligencji samej siebie' – niezdolną, by samą siebie pojąć do głębi". Ponieważ "nie ma rzeczy mniej wiarygodnej od odpowiedzi na nie postawione pytanie" (R. Niebuhr). To niesie za sobą decydujące konsekwencje dla dzisiejszej wiary. Przyczyną tego, że ludzie dziś już nie wierzą, albo wierzą nie wierząc, sprowadzając, jak to tak często możemy zauważyć, wiarę do formalnego, rytualnego uczestnictwa, do jakichś gestów lub do moralizmu, jest fakt, iż nie żyją swym człowieczeństwem. Dlatego prowokacja, której doznaliśmy w tych miesiącach pandemii, okazuje się tak decydująca dla naszej wiary. Bo Tajemnica użyć może wszystkiego, cokolwiek się zdarza, właśnie dla realizacji najważniejszego, decydującego zadania, jakim jest pozwolić nam zrozumieć, co jest odpowiedzią na wszystkie nasze potrzeby i pytania. Przyczyną tego, że ludzie nie wierzą, lub wierzą nie wierząc, jest fakt, iż nie zajmują się swym człowieczeństwem, swą wrażliwością, odczuwaniem, swoją świadomością, jednym słowem swą ludzką naturą. Jak gdyby encefalogram był płaski, jak gdyby JA było w absolutnym odrętwieniu. I wówczas wiara staje się czymś bez jakiegokolwiek wpływu na życie. Dlatego Ksiądz Giussani nawołuje nas, wezwał nas w tych miesiącach, do "intensywnego przeżywania rzeczywistości", wskazując te słowa jako formułę określającą prawdziwą religijność. Przeżywać intensywnie rzeczywistość oznacza pozwolić, by się rozwibrowała cała potęga mej ludzkiej natury, mojego rozumu, mego przemożnego pragnienia sensu. Jeśli nam brak takiej czułości w stosunku do siebie samych, do naszej ludzkiej natury, jeśli zabrakło w nas człowieczeństwa, skończymy w pułapce nihilizmu. Ten właśnie zmierzch człowieczeństwa okaże się najbardziej widocznym znakiem, do jakiego stopnia przeważa w nas nicość. Możemy nadal, czemu nie, spełniać formalnie religijne gesty, lecz nicość przeważa.

Co nas ratuje?

Poczucie i świadomość tej naszej ludzkiej natury pozwala nam rozpoznać, co nas ratuje. Co nam pozwala uchwycić i pojąć wagę, doniosłość wiary, ludzki z niej pożytek, jej istotność w życiu, odpowiedniość propozycji chrześcijańskiej do życia i jego wymogów; a więc pozwala na to, byśmy nie utożsamiali chrześcijaństwa z którąś za znanych jego redukcji: z moralizmem, z gadulstwem czy obrzędową dewocją. Żadna z redukcji nie jest w stanie porwać mnie od głębi. A jeśli nie zachwyci mnie od głębi, pozostanę w nicości, mimo wszystkich formalnych praktyk, wszystkich

naszych rytuałów. JA jest do tego stopnia nieugięte i nieuprzedzone, że tylko w wypadku, gdy samo sobą jest zaskoczony – zdumiony ową wibracją w następstwie zderzenia z czymś o najwyższym stopniu ludzkiej odpowiedniości, zdaje sobie sprawę, iż natknęło się na to, co jedynie potrzebne jest w życiu. I wtedy zaczyna rozumieć, że, jak śpiewa Guccini, „nie ma mnie, gdy ciebie nie ma”, że, jeśli cię nie ma, „ja sam zostaję, jedynie z moimi myślami”.

Ale komu mogę wyznać: „Nie ma mnie, gdy nie ma ciebie; jeśli cię nie ma, ja konam; ofiarą się staję mego odrętwienia, moich przemyśleń, całego tego kołowrotu świata, kiedy brak ciebie”?

Pomyślmy, czego doświadczył Jacopone z Todi, że wykrzyknął: „Chrystus całego mnie porwał, taki jest piękny!”. No tak, bo bez człowieczeństwa, całego człowieczeństwa, nieuniknienie Chrystusa redukujemy. Gdy brak człowieczeństwa, zadowalamy się czymś naszego pomysłu, chociaż używamy słowa „Chrystus”. Wielu z nas mówi o Chrystusie, lecz ilu poznaliście takich, którzy naprawdę potrzebują Chrystusa, by żyć? Chrystus może się „rozmienić” na puste słowa, a chrześcijaństwo „z taką zniżką” może się stać czymś odrażającym. Wszystko to, co się nam wydarzyło i się zdarza, jest nam dane, byśmy dostrzegli, usłyszeli, poczuili wibrację w nas naszej ludzkiej naturze, jedynej, która może prawdziwie przechwycić, zauważyć Tego, który „porywa mnie, taki jest piękny!”.

Niech te dni będą okazją, by dać się przyciągnąć przez Tego, który staje przed nami, aby wyrwać nas z nicości i dać nam doświadczyć Swej prawdy, Swej chwały, blasku Prawdy. Jak? Dając wyłonić się, na światło się wynurzyć pełni naszej ludzkiej natury, budząc całe nasze JA. Jeżeli nie zainkasujemy tego dobroczynnego ciosu z Jego reperkusjami, jeśli nie zaistnieje takie potwierdzenie przebudzenia, znaczy, że tym, o czym opowiadamy, nie jest Chrystus. Bo kiedy Chrystus wkroczył na scenę historii, kto Go spotykał, nie mógł nie zawołać: „Niczego podobnego dotąd nie widzieliśmy!”.

Dlatego prosimy, byśmy byli otwarci na wstrząs w obliczu Jego Obecności. Prosimy o to w ciszy, którą postaramy się uszanować, gdziekolwiek się znajdujemy. Wspierajmy się wzajemnie świadectwem ludzi, którzy Go szukają, jak to mówi prorok Izajasz: „Szukajcie Pana, gdy się pozwala znaleźć, wzywajcie Go, dopóki jest blisko!” (Iz 55, 6).

Notatki ze Spotkania Pytań prowadzonego przez Księdza Juliána Carróna Sobota rano, 8 sierpnia 2020

Na wejście: *Johannes Brahms – Symfonia nr 4 e-moll; Spirto Gentil CD 19**

Ksiądz Michele Berchi. Przewidywaliśmy, że to Spotkanie pytań odbyłoby się w bezpośrednim połączeniu z całym światem oprócz Ameryki Łacińskiej, ponieważ jest tam jeszcze noc; ale, jak się wydaje, Ameryka Łacińska jest już na nogach, toteż wszyscy jesteśmy połączeni.

1/ Cześć, jestem w Bractwie Świętego Józefa mniej więcej od roku. Po jednej z rozmów Ksiądz Michele pożegnał mnie słowami: „Okoliczności, okoliczności, okoliczności”. Nagle postawiono mnie przed faktem, że moja relacja z Chrystusem poprzez Bractwo rozgrywa się wewnątrz okoliczności. Poruszony zostałem jednocześnie tym, żeś powiedział, iż okoliczności są powołaniem, jak i twoim naleganiem, by intensywnie żyć rzeczywistością. No i teraz, pierwszą moją okolicznością jest depresja, na którą cierpię od lat. Kto jest chory na depresję, nie jest wciągany w nicość, jest w niej

całkowicie pogrążony. To zauważam, gdy słyszę kolegów mówiących konkretnie o pracy, lub gdy słyszę księdza, u którego mieszkam, jak organizuje gesty dla Ruchu; a ja, trzydzieści lat po spotkaniu, pytam samego siebie: „Ale czy to właściwie warto?”. Zdarza mi się, że nie idę do pracy, ani na Mszę, nie robię momentów ciszy, bo czuję się straszliwie. I teraz, ponieważ lekarze powiedzieli mi, że niemożliwym jest, iż się wyleczę, toteż w okoliczności depresji rozgrywa się moje szczęście. Chciałem cię zapytać, co mam zrobić, żeby żyć w takiej okoliczności na wysokości mojego pragnienia. Dziękuję.

Ksiądz Julián Carrón. Jest jakaś możliwość, przyjacielu, czy już nic nie ma do zrobienia? Nie idzie się do pracy, nie idzie się na Mszę, nie odprawia się ciszy. Kropka. Kwestia zamknięta. Co ci mam jeszcze powiedzieć?

Albo ofiaruję, albo się będę wściekać.

Carrón. Tu nie chodzi o twoją ofiarę, lecz czy istnieje jakaś możliwość; w przeciwnym wypadku wszelka ofiara jest próżna. A więc? Jeżeli pójdziesz do głębi wszystkiego, do samego dna, co widzisz? Wszelka możliwość przekreślona? Wszystko skończone? Pytać się o to jest właśnie intensywnym przeżywaniem rzeczywistości. Toteż, na samym dnie, co nam pozostaje?

Pozostaje Jego inicjatywa.

Carrón. A jaka jest pierwsza Jego inicjatywa? Popracujmy razem nad tym, aby zdać sobie sprawę z tych rzeczy. Jaka jest pierwotna Jego inicjatywa pod twoim adresem?

Bo ja wiem? Czulość, o której ostatnio mówiłeś...

Carrón. Powtarzam, jaki jest Jego pierwszy gest czulości?

Sprawić, bym zrozumiał, że muszę się leczyć, na przykład.

Carrón. Jest coś przedtem. Abyś zapragnął się leczyć, czego przedtem potrzeba? Jaka jest ta pierwotna czulość Tajemnicy wobec ciebie, który jesteś pogrążony w depresji. Tajemnicy nie gdzieś z boku, przy twojej depresji, ale z tobą, wewnątrz, tam, gdzie jesteś w niej pogrążony.

Owszem, daję mi odczuwać zgrzyt tej sytuacji, ale jednocześnie pozwala mi ją akceptować jako...

Carrón. Tylko tyle?

Pozwala mi ją akceptować jako okoliczność, przez którą chce, bym przechodził.

*To COŚ na zewnątrz nas (a co jest pierwszą oczywistością dla rozwartych oczu dziecka i dla jego serca, które się na oścież otwiera na życie) ma cechę fascynującą, znamioną, wymowną, nieodpartą: COŚ poza nami odpowiadające naszemu JA. [...] Ta Symfonia jest niczym poryw rozumu, który ze swego wnętrza wychyla się ku rzeczywistości, rozumu, który szeroko się otwiera na ogrom świata z jego bogactwem przejawów życia (*Ksiądz Giussani*).

Carrón. Jeszcze przedtem! Co ci mówi Tajemnica przed czymkolwiek innym?

Z pewnością mówi mi, że chce osobistej więzi ze mną.

Carrón. Ale jak ci to mówi? Jak?! Poprzez coś, co ty wymyślasz?

Nie, robi to poprzez okoliczności.

Carrón. I jaka jest ta pierwsza okoliczność?

Pierwszą okolicznością jest moje pytanie.

Carrón. A więc? Pierwszą okolicznością jest pytanie. A jeśli ty jesteś na dnie, kto się pyta?

Ja tego pytania sam sobie nie dałem. Tutaj „idę gęsiego”, za innymi, którzy mi to powiedzieli.

Carrón. Pytanie zadajesz ty, ty! A więc ty jesteś! I jeśli jesteś, jaki jest ten pierwszy gest czulości Tajemnicy dla ciebie?

Towarzystwo.

Carrón. Jakie towarzystwo? Nie powtarzajcie frazesów, nie ujdzie wam płazem. Jakie towarzystwo?

Gdybym nie miał tego towarzystwa, które mi, no właśnie, towarzyszy w moim bólu, nie wiem, jak bym skończył. Szczerze mówiąc, nic innego do głowy mi nie przychodzi.

Carrón. Z czego widać, że to towarzystwo cię nie nabiera? Tyle jest form towarzystwa, które się na nic nie zdają.

To towarzystwo pomaga mi zrozumieć, że nie jestem określony tym moim stanem.

Carrón. Ale jak ci to mówi? Jediną rzeczą, jaką mi dotąd powiedziałeś, jest, żeś określony tym twoim stanem.

Przykład. Kiedy pracowałem w przedsiębiorstwie oczyszczania miasta, wstawałem o czwartej rano i zdarzał się dzień w tygodniu, kiedy kończyłem robotę i czułem się potwornie. Powiedziałem Don Michele, że w takim dniu nie byłem w stanie iść na Mszę czy odmawiać Breviarz.

Carrón. A kto ci każe iść na Mszę? Dlaczego masz potrzebę pójścia na Mszę? Nie wolno nam spełniać gestów, które nic wspólnego nie mają, absolutnie nic wspólnego!, z depresją i z tym wszystkim, co się nam wydarza. To wam wczoraj powiedziałem. Nie że nas oderwano od chrześcijańskich formuł, od rytuałów chrześcijańskich – mówił nam Ksiądz Giussani –. Dzisiaj wyrwani jesteśmy z naszego człowieczeństwa, odarci z naszej ludzkiej natury, stąd nie wiemy już, na co potrzebne jest człowieczeństwo, na co jest potrzebna depresja, po co jest wszystko to, co robimy; i w końcu stajemy się igraszką nicości. Dlatego też nalegam: jaki jest pierwszy czuły gest Tajemnicy w stosunku do ciebie? Oto jest świadomość, do której towarzystwo powinno cię prowadzić, jeśli jest autentycznym towarzystwem; jeśli tak nie jest, znaczy, że kpi sobie i robi z ciebie głupca.

Pozwala mi stać w obliczu tej okoliczności z całym ogromem mojego pragnienia.

Carrón. To znaczy, że ci pozwala zdać sobie sprawę, że pierwotnym gestem czułości Tajemnicy w stosunku do ciebie jest fakt, iż ciebie czyni. Stwarza ciebie. „Ukochałem cię odwieczną miłością, zlitowałem się nad twoją nicością” (por. Jr 31, 3). Im bardziej pogrążony jesteś w depresji, tym bardziej cię to wspomaga – paradoksalnie – w zauważeniu i przekonaniu, że ten pierwszy gest Boga jest nieskończenie ważniejszy od faktu, iż lekarz orzekł nieuleczalność. Nie wybrniemy próbując uporządkować, załatwić problem; bo akurat, założmy, nie można go rozwiązać. To tak, jakby Tajemnica zaniósła nas na brzeg przepaści; i właśnie tu, na krawędzi otchłani, co możesz zrobić? Jeśli właśnie tego użyjesz, aby żyć do głębi, do dna, co oznacza intensywnie przeżywać rzeczywistość, by nie pozostać na tym progu, w tej chwili co się objawia nieporównanie realnym od tego wszystkiego, czym jesteś, od twojej depresji? Że JEST ten INNY, który czyni ciebie teraz, w tej chwili. I teraz, jeśli dojdiesz do owego progu – depresja czy nie, załatwione problemy czy też nie – pozostaje jedynie ostateczny problem – problem wolności: pozwolisz, by Ten, który w tym momencie ciebie stwarza, wziął cię w objęcia, czy na to nie pozwolisz. Potrzeba tego, byś wyszedł z depresji, aby pozwolić Tajemnicy cię kochać? Czy musisz zlikwidować wpierw problem, by potem pozwolić na wtargnięcie w twą egzystencję Obecności Kogoś, kto cię tak żarliwie kocha przez całe twoje życie? Musisz wpierw wyzdrowieć – czy natomiast to zezwolenie, by On cię objął, jest źródłem, początkiem uzdrowienia? Nie jesteś określony przez chorobę, lecz przez tę szaleńczą Jego miłość do ciebie. Tylko wtedy zaczniesz rozumieć, że, właśnie dlatego, żeś chory, potrzebujesz ciszy. Choroba przestanie być alibi, by nie zrobić ciszy. Jesteś chory; i jak jesteś w stanie żyć nie robiąc ciszy!? Jak możesz kochać siebie samego? Jak siebie możesz znieść!? Właśnie tam, gdzie zapadł się i resztką sił gonisz, tam, gdzie zostały nam już tylko strąki przeznaczone na świńską paszę, jak synowi marnotrawnemu, podobnie jak on nie możemy nie poczuć dreszczu pragnienia: w domu mego ojca żyło się jak u Pana Boga za piecem!... Taki osąd zaczyna się wsączać w najczarniejszą ciemność mego JA: jest ten INNY na moim dnie. I poczynamy widzieć zwycięstwo Chrystusa; to On przestrzeń sobie otwiera, o ile pozwolimy Mu wejść, On, który przemienia nasz stosunek do samych siebie. Jak powiedzieliśmy sobie w czasie Szkoły Wspólnoty: z tego, co nam się wydarzyło, rodzi się nowy typ poznania. A jeśli dane nam wydarzenie nie dochodzi do tego, byśmy zaczęli używać rozumu do końca, do głębi, jeśli pozostanie ono czymś powierzchownym, elementem dekoracyjnym, to znak, że wiara jest w niebezpieczeństwie. Jak mówił Ksiądz Giussani, ludzie wierzą nie wierząc, i w ten sposób jakby to wszystko, co sobie powtarzamy, nie dotyczyło, nie podważało spraw, które się nam zdarzają, rzeczywistości. A w końcu sobie powiemy: „W gruncie rzeczy, na co mi wiara? Kto wie, czy tego wszystkiego sobie nie wmawiamy? Nie wyobrażamy sobie? Może to tylko nasze humory?”. Tak to co ranka stoimy przed gigantycznym wyzwaniem, zarówno ty, jak i ja, bo również ja, choć nie jestem w twojej sytuacji, jestem wzywany, aby Go rozpoznać, uznać, wyznać – jak, widzisz, zapraszam i ciebie do tego – wchodząc w najgłębszą głębię mego JA; jak ty, tak i ja, gdy

dostrzegam Go na dnie tej ciemności, kiedy „zauważam, że Ty jesteś, / niczym echo [...] się odradzam” (Adriana Mascagni – ‘Moje oblicze’). Odrodzenie tam jest – na dnie depresji. To jednak mechaniczne nie jest, a i nie zdarza się raz na zawsze, lecz musi zachodzić chwila po chwili, moment za momentem; w przeciwnym wypadku samego siebie znieść byś nie mógł, i ja nie byłbym w stanie znieść siebie. Dzięki. I owocnej pracy.

2/ Piszesz: „Nasze człowieczeństwo [...] jest dokładnie naszym kryterium osądu” (‘Blask oczu’). Moje pytanie wychodzi od faktu, że do tego stopnia uderzyła mnie kwestia czułości wobec własnego człowieczeństwa, iż pragnę patrzeć tę moją naturę w każdym aspekcie, nawet w tym, który mnie przeraża. W przedwczorajszy wieczór, kiedy w lekturze twojej książki natknęłam się na rozdział o cielesnej obecności, o ciele, które niesie w sobie coś, co odpowiada na całość naszej potrzeby sensu i miłości, buchnęłam płaczem, odczuwszy przemożne tego pragnienie, a jednocześnie wielki brak tej obecności. Tamtej nocy spać nie mogłam. Następnego ranka – było Świętej Marii Magdaleny – ksiądz na Mszy omawiał następujący fragment: „Na łożu mym nocą szukałam umiłowanego mej duszy, szukałam go, lecz nie znalazłam. [...] Szukać będę ukochanego mej duszy” (PnP 3, 1-2). Wzruszyłam się, do jakiego stopnia te słowa mnie opisały. Wylało się ze mnie całe pragnienie tej miłości, a jednocześnie cień lęku, że odkryję, jak często jej nie znajduję. Potem powtarzam sobie – i natychmiast siebie samą oceniam... - że już jestem na tej drodze, ale często łapię się na tym, iż tylko ledwie przeczuwam czym jest dziewictwo, iż powinnam żyć tą miłością, podczas gdy często, bardziej niż przeżywanie jej w kontekście obecności ucieleśnionej, przeżywam ją jako brak. Uderza mnie i wzrusza to, iż jest ona do tego stopnia z ciała, że mi jej brak. Ale często nachodzą mnie niezliczone wątpliwości co do mojej drogi, odnośnie tego, co jest mi odpowiednie. Wówczas myślę, że czegoś innego mi brakuje: mężczyzny, domu, innej, mniej skomplikowanej pracy; napadają mnie tysiące wahań i podejrzeń, i myślę nad tym, co wydarzyło się w tych miesiącach. Podczas trzech miesięcy w domu, w samotności, fizycznie byłam prawie zawsze sama, doświadczyłam tej Obecności, w pewnych momentach wręcz fizycznej. To dotąd prawie nigdy mi się nie zdarzyło. Może dlatego teraz odczuwam jeszcze bardziej ów brak. A ty, jak przeżywasz tę cielesność? Lęk mnie ogarnia, gdy przypatruję się temu we mnie; ale to zbyt ważne; przemożnie pragnę znaleźć, odszukać tę miłość.

Carrón. A więc, zacznijmy od końca: „Doświadczyłam tej Obecności, w pewnych momentach wręcz fizycznej”. Czego w tych momentach się nauczyłaś?

Te miesiące mną wstrząsnęły, przerażało mnie, że zmuszona jestem być sama. Stąd na początku ciężko mi było, a zwłaszcza...

Carrón. Ale, kiedy doświadczałaś tego, świadoma byłaś, że nie jesteś sama, pełna byłaś tej wręcz fizycznej Obecności. Nie cofajmy się! Powtórz, coś powiedziała; bo nie zdajecie sobie sprawy z niesamowitych rzeczy, które mówicie.

Dotąd prawie nigdy mi się to nie zdarzyło. Kto wie, może dlatego teraz jeszcze bardziej czuję ów brak.

Carrón. Wpierw odczuwałaś Jego brak, bo Go nie było; teraz brak odczuwasz, bo jest Obecny; co więcej, poczucie braku jest jeszcze dotkliwsze właśnie dlatego, że On jest Obecny. Co ci to mówi? *Poczucie braku jest silniejsze, bo tej Obecności doświadczyłam.*

Carrón. A więc skąd się biorą wątpliwości? Stąd, że tego nie uznajesz.

Za każdym razem, gdy to poczucie się pojawia, trudno mi uznać, iż jest to znak, że to Jego mi brakuje. Dam tego przykład. Podczas lockdown niemal każdego ranka budziłam się z myślą o osobie, w której byłam zakochana, brakowało mi możliwości zobaczenia go, i wmawiałam sobie, że nie powinno mi go brakować. Ksiądz Michele mi powiedział: „Nie masz co o to pytać w jakiejś innej okoliczności; zadawaj pytania wewnątrz tego, co ci się zdarza”. A więc zaczęłam nie odwracać głowy od faktu, że mi tej osoby brakuje; ale Go, Jezusa, poprosiłam, aby mi w tym towarzyszył. I doświadczyłam Jego towarzystwa – nie opanowała mnie rozpacz; toteż mogę twierdzić, że Jego Obecności doświadczyłam...

Carrón. Ale w tamtych chwilach, gdy przeżywałaś brak tamtej osoby, wątpiłaś, że ona istnieje? *Nie, nie wątpiłam; ale...*

Carrón. Doskonale. I jaki był najbardziej oczywisty dowód, że słusznie nie miałaś żadnych wątpliwości co do istnienia tej osoby? Co potwierdzało jej istnienie, a nie były to twoje humory i wymysły?

Że mi go brakowało.

Carrón. Brakowało ci go. Więc czego się z tego musisz nauczyć? Doświadczyłaś braku Chrystusa; ale po doświadczeniu po raz pierwszy fizycznej Obecności Chrystusa jeszcze bardziej Ci Go brakowało. Ponieważ im bardziej spotkana osoba okazuje się znacząca dla twego życia, tym jest większa za nią tęsknota. Oto początek dziewictwa. Jeśli to tracimy z oczu, przeważają wątpliwości i podejrzenia; bo nie pojmujemy, iż fakt, że i w jaki sposób On się uobecnia, ten fakt właśnie całkowicie budzi twoje pragnienie. Kogo? Jego. Całe poczucie Jego braku, właśnie braku Niego, poczucie pragnienia podobne do tego, któreś przeżywała kiedy byłaś w kimś zakochana. I tęsknota nie wskazuje na to, że Go nie ma. Jest najoczywistszym znakiem, że On jest.

Ale normalnie w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach odczuwamy brak, a są tak rzadkie momenty, kiedy przeżywamy pełnię. Dlatego mówię: albo z czasem wzrasta to poczucie pełni... Lecz mnie nie starczy stwierdzić, że z czasem wzrośnie ta pełnia.

Carrón. Chodzi o to, byś zaczęła tego doświadczać.

Tak, to osoby mi brak. A jednak jest piękniej, gdy ją widzisz.

Carrón. Musi się zdarzyć coś takiego, co mi opowiedziała siostrzyczka chłopczyka, który mówił do mamy: „Mamusi, jak mi Ciebie brakuje, gdy Cię nie ma!”. Ale zaraz dodał – ośmioletnie dziecko! –: „Ale problem jest, że brakuje mi Ciebie również, gdy jesteś”. Bo jeśli obecność nie budzi coraz bardziej w tobie jednoczesnego i rosnącego jej pragnienia, to w końcu będziesz się mógł, mogła bez niej obejść. Chrystus odpowiada na twoje poczucie braku i jednocześnie to pragnienie coraz silniej rozbudza. Jeśli tego nie rozumiemy, w gruncie rzeczy sądzić będziemy, iż Chrystus ma przyjść, aby nas napoić i nasycić; co dla nas oznacza wytrzebić, wykorzenić z nas pragnienie, w kamienie nas zmienić i w ten sposób znieczulić na udrękę poczucia braku i pragnienia. A teraz, gdybyś była w kimś zakochana, miło by ci było nie odczuwać za nim tęsknoty? Czy tego chcesz? Zapytaj samej siebie. Ponieważ tego nie rozumiecie, kończy się na tym, iż wyobrażacie sobie, że ideałem byłoby nie odczuwać za Nim tęsknoty; a myślicie, że, skoro tęsknicie, znaczy, że Go nie ma, że nie ma odpowiedzi. W konsekwencji, zapychamy tę pustkę braku innymi obrazami, jeden po drugim kolejno je przekreślając, bo żaden nie jest odpowiedzią, nie jest odpowiedni. Gdyby Chrystus był czymś, co my produkujemy, byłby jednym z panteonu naszych wymysłów.

A więc, kwestia polega na tym, że brak jest cielesny.

Carrón. Tak, to cielesny brak, jak mówisz. Otóż, jeśli nie skorzystasz z tego, czego zaczynasz doświadczać, niemożliwym jest, byś sobie to uświadomiła. Brak jest cielesny. Im boleśniej potrzebujące jest twoje JA, potrzebująca jest twoja ludzka natura, tym silniej odczuwasz ten brak. Jednocześnie, im bardziej Chrystus się uobecnia, jak zdarzyło się Marii Magdalenie, tym trudniej ci spać w nocy z powodu Jego braku. Ona tym mniej o świecie dnia Zmartwychwstania jest w stanie zostać w łóżku, musi biec, by Go szukać. Jeśli tego pragnienia pozbawiona jesteś, gdy rano oczy otwierasz, pragnienia pójścia na Jego poszukiwanie, robiąc ciszę po to, by z Nim być, jaką wartość ma wstawanie co ranka? To by oznaczało iść na poszukiwanie okruchów, które jeszcze większą pustkę by ci zostawiły. Inne jest przebudzenie jedynie kiedy staje się dla Ciebie jasnym, że Chrystus jak nikt inny rozżarza w nas całe nasze pragnienie. Dlaczego z taką mocą to czyni? Bo to On właśnie, jedyny!, nań odpowiada. Jedyny, który jest w stanie odpowiedzieć na całe twoje pragnienie, i stąd jest jedynym, który je rozpala coraz bardziej. Nie żeby je w końcu wypełnić, ale by je za każdym razem coraz bardziej zaspokoić. W dniu, w którym przestałbyś za Nim tęsknić, nic by Cię odtąd Chrystus nie obchodził; też byś gwizdała na kogoś, za kim nie tęsknisz. Kończąc, skoro odczuwasz coraz bardziej presję tej tęsknoty, oto najoczywistszy znak, jak stwierdziłaś, Jego Obecności. Więc teraz zdecyduj, czy to całkowicie odpowiada na twoje pragnienie; jeżeli nie, szukaj czegoś, kogoś innego. Spróbuj! Ty zdecyduj.

3/ Miałem niedawno możliwość spędzenia kilku dni we wspólnocie, goszczącej osoby, które dokonują drogi wyjścia z rozmaitych uzależnień. Zrobiłem to na zaproszenie przyjaciela, który ją

założył, w przebiegu weryfikacji mego powołania. To były przebogate dni. Dały mi możliwość spotkań i rozmów, które wzbudziły we mnie ogromną udrękę wobec cierpień, dramatycznych historii, bólu bycia porzuconymi, wieloletnich więzień, z których niektóre przez pół życia, rozbitych rodzin. Poza tym widziałem osoby, również młode, które pozwalają przeciekać życiu przez palce, zapychając czas tytoniem, grą w karty, meczami w piłkarzyki. Najpiękniejszą rzeczą, którą zabrałem ze sobą do domu, są osobiste rozmowy, które miałem. W kilku z nich mogłem widzieć, że nie wszystko z tego jest tylko zabijaniem czasu. Na przykład, myślę o chłopaku, który wyjaśniał na twarzy, kiedy odkrył, że ja gram na gitarze, i powiedział mi, że chciałby nauczyć się grać na perkusji, po czym pragnąłby chodzić do szkoły, gdzie mógłby zdobyć zawód mechanika. Inny znowu jest świetnym dekoratorem i nauczył mnie robić talerz z terakoty. Jeszcze innemu, ledwie dwudziestolatkowi, rozbłyśły oczy, gdy mu powiedziałem, że być może znajdę sposobność, aby dowiedzieć się, jak czuje się jego brat w więzieniu, a który jest najbliższą mu osobą. Tym, co mnie najboleśniej dotykało, były konkluzje tych dialogów, w których przeważał gorzki smak różnych „no tak, ale”. „Pewnie, mam w sercu to pragnienie; ale...” . „Może będę mógł ci powiedzieć, czym się chcę zająć, po wyjściu stąd; ale...” . Wszystko kończyło się tym „ale”. Robiło to wrażenie, jakby nie warto było mieć podobne pragnienia. Bo rzeczywistość była dla nich jednym wielkim „ale”, a nie sojusznikiem; i zmuszeni jesteśmy zadowolić się tym byle czym, co posiadamy. Dlaczego ci to opowiadam? Bo bardzo mnie uderzyło, że, owszem, widziałem, iż motor jest, ale prawie zaraz świece silnika okazują się zalane. I mnie się to zdarza, stąd to świetnie rozumiem. Nawet, gdy wynurza się ślad życia, lepiej go wepchnąć ponownie w głąb. Jak zdarzyło się jednemu z chłopaków. Zaproponowałem projekcję z dyskusją pewnego filmu. On do mnie podszedł, żeby powiedzieć, iż ogromnie mu się podobał i warto go ponownie obejrzeć. Ale w obecności innych nie chciał tego powiedzieć – żeby nie pokazać swego entuzjazmu. Wydaje mi się, że ten czas nicości i nudy, który spotkałem, przypomina bieg z przeszkodami. To wzbudziło we mnie sporo pytań. Dlaczego silnik naszego człowieczeństwa jest na chodzie, ale tak często się blokuje? Dlaczego pragnienie podziła gdzieś swoją godność? A w końcu: kim jestem w obliczu tego wszystkiego? Bo ja wobec nich mam w sobie owo rozdzierające wzruszenie. I nie chcę zgubić Tego, którego spotkałem.

Carrón. O czym to wszystko ci mówi? Wpierw, że motor jest, a więc jest też pragnienie, jest tęsknota, nasze pragnienie lepszego życia nawet w depresji. Nic nie może tego zabić. Możemy znaleźć w lepszej czy gorszej sytuacji, ale motor pozostaje nietknięty. Owo „ale” – które silnik blokuje – jest decyzją naszej wolności; i tu się rozgrywa cała walka. Jeżeli w obliczu pragnienia pełni nie jestem mu posłuszny do dna, ponieważ nie mam pojęcia, w jaki sposób ono może się zrealizować, jeżeli je zablokuje jakimś „ale”, skończona przygoda.

Co się powinno stać, by nie przeważało „ale”? Oto jest pytanie! Jeśli w życiu nie idziemy drogą, na której powoli, z czasem, zdobyć zaufanie do Tego, który budzi, roznieca nasze pragnienie, nieuniknionym jest, że w końcu przeważą nasze „ale”. A Tajemnica, co robi? Rzuca nam wyzwanie do walki z naszymi „ale”, otwierając nieustannie przed nami kolejne możliwości, abyśmy zrozumieć mogli, że, jak wczoraj cytowaliśmy, więcej jest rzeczy na niebie i na ziemi niż w naszej filozofii. Istnieje wiele więcej możliwości od tych, które sobie wyobrażamy. Tajemnica, rzucając nam nieustannie to wyzwanie, czyni nas coraz mądrzejszymi, naprawdę coraz bardziej otwartymi na całość. Czyni, jak już powiedziałem na jednej ze Szkół Wspólnoty, coraz prawdziwszymi.

Na tym poziomie rozgrywa się walka z nihilizmem: wszystko zależy od tego, czy te chłopaki natkną się na osoby, w których nihilizm został pokonany. Jak wtedy, gdy wszyscy widzieli Jego, Jezusa, który przepędzał wszystkie „ale” swoją niepowtarzalną obecnością wobec nich, a nie dlatego, że automatycznie zaspokajał każdą potrzebę. Czasem na te potrzeby odpowiadał, a czasem nie. Istotnie, nie uleczył wszystkich chorych, których spotkał. A jeśli by ci, których uzdrowił, nie wzrastali w ufności, że nie są sami niczym psy bezdomne i że istnieje inna, nowa możliwość przełamująca ich, naszą miarę rzeczy, w końcu te „ale” przeważałyby niechybnie.

Jesteśmy wzywani, zostaliśmy powołani, wybrani; takie jest nasze powołanie: pokazać Chrystusa, który zwycięża wobec każdego „ale”. Dlatego właśnie On niczego nam nie oszczędza: ani depresji, ani choroby, ani tęsknoty. Nie oszczędza nam niczego, ponieważ tak ludzka musi być nasza z Nim

relacja, że stanie się możliwym i wiarygodnym dla wszystkich świadectwo naszego człowieczeństwa, nasz sposób bycia w rzeczywistości rzucający wyzwanie, samym swym istnieniem, wszelkiemu „ale”. Chrześcijaństwo może dziś ludzi interesować. Ale nie dlatego, że się mówi o chrześcijańskiej doktrynie – już i tak wszyscy twierdzą, że to już wiedzą, i że ich to nie interesuje. Czy też bo zabawiamy się w interpretacje. Lecz kiedy chrześcijaństwo stawia przed wszystkimi realną, cielesną obecność, która rzuca wyzwanie każdemu „ale”, prowokuje wszelką depresję, stawia czoła każdej okoliczności. Dopiero wówczas możemy każdemu człowiekowi towarzyszyć w drodze. Oto nie ciepłota zwłoki, najważniejsza potrzeba naszych dni. Ludzi, którzy konstruują teorie, jest aż za dużo, Internet jest ich pełen. Ale jeśli brakuje kogoś, kto rzuca rękawicę różnym „ale” po prostu żyjąc, „ale” w końcu przeważa, w nas i w innych. Oto powołanie, do któregośmy wezwani, Chrystus nam je daje dla wszystkich: abyśmy przed wszystkimi świadczili o Jego zwycięstwie nad nicością.

Ksiądz Michele. Wracając do tego, coś mówił wczoraj o ludzkiej naturze, jest ciekawe pytanie dotyczące reakcji własnego człowieczeństwa, jak może się ono nie stawać przeszkodą, a w rezultacie jednym wielkim „ale”.

4/ Istnieje natura ludzka, której należy pragnąć, o którą się starać? Zawsze mówiłam: „To jest moje człowieczeństwo”, nadal mówię: „Tak jestem zrobiona”, zależnie od okoliczności – pięknych czy dramatycznych. I właściwie myślę, że słowo „człowieczeństwo” jest hasłem oznaczającym aspekty mego charakteru, mego temperamentu. Zdarza mi się coś dobrego i ukazuje się we mnie natura otwarta i przychylna. Zdarza się coś dramatycznego i moje człowieczeństwo mnie miażdży, czuję się zdruzgotana. Dotyczy to okoliczności niedawnej. W ubiegłym roku miałam ciężki wypadek samochodowy, bez wmieszanych w to innych osób, prócz mamy, która jechała ze mną i poniosła szkody. Czas wyzdrowienia był różny: dla mnie dwadzieścia dni, dla mamy sto dwadzieścia jeden. Po roku nadchodzi zawiadomienie o postępowaniu karnym w toku w następstwie przysporzonych mamie szkód; mimo, iż nie wniesiono skargi i nie było doniesienia. To ustala nowe prawo o zabójstwie drogowym. Obie byłyśmy tym wstrząśnięte, bardziej niż samym wypadkiem. Mama mieszka ze mną, ma ponad dziewięćdziesiąt lat, od zawsze się nią opiekuję, a tamtego dnia wyjechałyśmy, by zadbać o jedną z jej potrzeb. Pan chce nas jeszcze tu, na ziemi; jednak ustalone przez ludzi prawo, które ma swój przebieg, powoduje we mnie cierpienie, bo to przeżywam jako niesprawiedliwość, czuję się zmiażdżona. Czy ta reakcja też należy do mego człowieczeństwa, jest moją naturą?

Carrón. A ty co na to?

Ja mówię, że tak.

Carrón. To jest twoje człowieczeństwo?

Zawsze twierdzę, że tak jestem zrobiona, że to jest moja ludzka natura. Ale odczuwam, że...

Carrón. Ale czy tylko tym jesteś? Jesteś tylko tą reakcją?

Nie, nie jestem tylko tą reakcją.

Carrón. Doskonale. Ta reakcja jest częścią twojej natury, ale nie reprezentuje całości twojego człowieczeństwa. Niestety, my redukujemy nasze człowieczeństwo do tego, coś powiedziała: jeśli okoliczność jest piękna, jesteś otwarta, jeśli natomiast jest szpetna, pozwalasz na to, by cię miażdżyła. Kwestia tkwi gdzie indziej: czy – wobec kodeksu karnego – w relacji z twoją mamą coś zaszło.

Więź pozostała przepiękna, jak było dotąd.

Carrón. Widzisz? Nawet prawo dotyczące zabójstwa drogowego – okoliczność, która w innym momencie by cię zdruzgotała – nie było w stanie zniweczyć waszej więzi. O to chodzi. To przepiękne, że przedstawiłaś nam obraz więzi, która, nawet tak zraniona, tak ugodzona, nie da się dobić. To dar relacji zdolnej wytrwać wobec wszelkich niespodzianek, więzi tak silnej, żarliwej, solidnej, że nawet bomba zegarowa doniesienia nie może jej wysadzić w powietrze. Mogłabyś powiedzieć: „Oprócz szkód, jeszcze szyderstwo”, mogłabyś powiedzieć: „Wpierw musiałam mamę leczyć; a teraz postępowanie karne!...”. Natomiast zwątpienie nie tknęło waszej więzi. Chciałabyś,

by tak się zdarzało w każdej sytuacji? Mimo, że ten fakt obiema wami wstrząsnął, reakcja twojego charakteru w najmniejszym stopniu nie nadszarpnęła więzi między wami. Wyobraź sobie, że mielibyśmy tak gorącą relację z Chrystusem, tak solidną, że żadna okoliczność, nawet najgorsza, nie mogłaby jej zranić, przerwać. To jest węzeł zaufania, który się tworzy z czasem, z czasem wzrasta aż po tak silną pewność; tak jak wzrosła w twojej relacji z mamą. To jest identyczne. Chodzi tu o drogę, która prowadzi z czasem do wzrostu pewności wytrzymałej próbie jakiegokolwiek nieprzewidzianej sytuacji. Tak jak wydarzyło się Jezusowi: ani męka, ani krzyż, nie mogły go wydrzeć zasadniczej, fundamentalnej więzi z Ojcem.

Don Michele. W tej chwili chciałby głos zabrać ktoś z Brazylii. Ale, żeby skrócić, od razu przeczytam tłumaczenie tego wystąpienia. Następnie, jeśli zechcesz porozmawiać, nasza przyjaciółka jest połączona na żywo.

<<Szukałam wielu pretekstów, aby nie ruszyć Wprowadzenia do Rekolekcji. Wolałam przeczytać ponownie to, coś napisać dla Pielgrzymki Macerata-Loreto; i to mi bardzo pomogło. Uczepiłam się zdania: „Ofiara, poświęcenie – oto, na co Tajemnica pozwoliła; to krok w drodze ku naszemu przeznaczeniu, krok w pielgrzymce, którą jest życie człowieka”. Po tym zdaniu zamknęłam oczy i powiedziałam sobie: „Wszystko jest w porządku. Kiedy otworzę znów oczy, wszystko odnajdę na swoim miejscu: będę mogła odwiedzić moich rodziców, których nie widzę prawie od roku, w pracy nie będę tak obarczona i nie dochodzić mnie będą nieustanne wieści o rodzicach moich przyjaciół, którzy umierają z powodu tego wirusa”. Dzisiaj rozmawiałam z jednym z przyjaciół z Bractwa Świętego Józefa, który zaraził się koronawirusem, a wczoraj stracił swego ojca, nie mogąc pójść na jego pogrzeb ani potowarzyszyć matce. Powiedziałam mu, że powinien dać świadectwo: stracił ojca i miał wszystkie powody, by się zapaść. Natomiast, powiedziałabym, że to on mnie, on!, niemal pocieszył, mówiąc, że wszystko to przeżył z pewnością, iż Chrystus ich nie opuszcza i ich wspiera. Odparłam, iż to jest wielka łaska tak żyć; bo ja, na samą myśl, że mogłabym stracić rodziców, w drobny mak się rozsypuję. Tak jak za każdą podobną wiadomością dotyczącą innych osób. Moi rodzice żyją o dwa tysiące mil stąd i, z powodu pandemii, nie mogli do mnie przyjechać w kwietniu, jak przewidywaliśmy, ani nie wiem kiedy będę ich mogła zobaczyć. Co mi dała rozmowa z przyjacielem, który ojca stracił? Pierwszy był odruch, aby o nim powiedzieć na tym Spotkaniu Pytań. Potem zmusiła mnie do tego, by stawić na jedno: wróciłam do tekstu Szkoły Wspólnoty, który wpierw tylko po części przeczytałam. Szczerze mówiąc, księżę Carrón, lektura Wprowadzenia do Rekolekcji sprawiła mi dużo przykrości. Powiedziałam sobie pod twoim adresem: „Mam cię w nosie”. Bo wydawało mi się niesprawiedliwością, że, zamiast nas uspokoić, nieprzerwanie opowiadasz nam przykłady przyjaciół, którzy przytaczają ich doświadczenia nicości. Miałam ochotę cię zapytać: „Rzeczywiście chcesz, byśmy utonęli? Nie starczy, w jaki sposób teraz żyjemy? Po co opowiadasz o ludziach, nawet z Komunii i Wyzwolenia, którzy żyją zniewoleni bolesną sytuacją czy stanem ducha?”. Kończy się rozdrażnieniem i wściekłością. Dlaczego nie powiesz po prostu: „To moment, który Pan daje jako część naszej drogi” i to starczy? Chciałabym uporządkować moje serce i uczynić je spokojnym, w oczekiwaniu, aż ten moment będzie za nami. Pomyślałam: „Wydaje się, że ten, który nas prowadzi, jest skłonny spartaczyć nasze życie”. Przeczytanie od nowa całego tego Wstępu jednym tchem było ciosem dużo jeszcze cięższym. Na szczęście nie przerwałam lektury i poszłam do dechy, nasłuchując krzyku ślepego Bartymeusza. Tu zrozumiałam, że teraz krzyczeć ma być moją pracą. Tym, czego pragnę, jest odpowiedź dla mnie i odpowiedź Panu. Krzyczeć nie odbiera mi cierpienia, ale rozumiem, że wobec tej rzeczywistości niczego innego zrobić nie można>>.

Carrón. Jest jeszcze natomiast coś innego do zrobienia. Przyjrzeć się temu twojemu cierpieniu. Ileż razy wybieramy krzyk, bo nie chcemy na nasz ból patrzeć. Staramy się tłumaczyć, wyjaśniać, usprawiedliwiać z pomocą pobożnych gestów. I w ten sposób znajdujemy alibi, aby na to cierpienie nie patrzeć. Lecz ja tak nie chcę żyć – odwracając głowę, jakby nie istniało to, co ludzie przeżywają. Ja chcę wszystkim powiedzieć – moim spojrzeniem na to, na co nikt nie chce patrzeć – że jest możliwe takie spojrzenie, że, dzięki temu, co nam się nam wydarzyło, możemy patrzeć na wszystko, właśnie na wszystko. Ale tego akurat nie pojmujemy: „Spojrzenie, które spostrzega

pustynię, do pustyni nie należy” (*Ksiądz Giussani*). Nie ma w starożytności opisu bardziej dramatycznego i – powiedzielibyśmy – bardziej pesymistycznego od tego, który dał nam Święty Paweł w Liście do Rzymian, opisu, który mnie zawsze uderzał. Badacze Pisma się pytają: „Ale dlaczego Święty Paweł, ze wszystkimi pięknymi rzeczami, które miałby nam do opowiedzenia, traci czas na przyglądanie się sytuacji?”. Po co Święty Paweł, nie będąc socjologiem, patrzy na chorobę; i patrzy tak, jak Jezus na nie patrzył, patrzy na wszystkie ludzkie potrzeby jak Jezus? Z Chrystusem w oczach, Święty Paweł na wszystko mógł patrzeć, absolutnie na wszystko. I jeśli i my na wszystko możemy patrzeć, to jest znak, że Chrystus już zwyciężył. Nie ma co gadać o Chrystusie, nie ma co myśleć, że Go obronicie słowami, jeśli Chrystus jest jedynie królem cmentarza, gdzie już nic i bezpowrotnie się nie dzieje. Tego rodzaju wiara mnie zupełnie nie obchodzi. Zatrzymajcie ją dla siebie, choć potem ją wystroicie w serię pobożnych paciorków. Ja chcę na wszystko patrzeć. Oto wielkie wyzwanie, które nam rzucił Ksiądz Giussani: religijność jest „nieustannym żarliwym przeżywaniem rzeczywistości”; a nie uciekaniem z rzeczywistości w świat pietyzmu. Jest wgłębianiem się po korzenie rzeczywistości, żeby ujrzeć tam, u dna rzeczywistości, w jaki sposób i jaka jest owa Obecność, która ma moc pokonać nicność, Obecność, dzięki której nicność w nas nie zwycięża.

Jeżeli tą drogą nie pójdziemy, nasze powołanie okaże się niepotrzebne światu – światu, w którym wszyscy próbują uciekać z rzeczywistości. Jedni uciekają w podróż – jak wczoraj słyszeliśmy Gaberę, inni zapychają życie teoriami własnej produkcji, inni jeszcze zasklepiają się w jakiejś bańce – jak opowiadała przyjaciółka z Kazachstanu, ta, która odwiedziła swoją przyjaciółkę zamkniętą w domu, nie chodzącą do pracy, szpikującą się pastylkami nasennymi, ze strachu przed zarażeniem. To przecież klęska człowieczeństwa! W przeciwieństwie do Świętego Pawła, który jest zdolny na wszystko patrzeć, również na dramatyczną sytuację swoich czasów – właśnie dlatego, że w jego oczach jest Chrystus. To jest nowe poznanie, o którym mówiliśmy w Szkole Wspólnoty; ono nie rodzi się z analizy, lecz z wydarzenia Chrystusa. To pozwala na wszystko patrzeć w sposób nowy. Przytoczę często powtarzany przykład: dziecko w towarzystwie matki może wejść w każdą ciemność. Tak samo my – możemy patrzeć na każdą sytuację w towarzystwie Chrystusa, jeśli Chrystus jest dla nas obecnością, towarzystwem obecnym. A jak wiemy, czy Chrystus jest obecnością, a nie tylko pustym słowem? Z faktu, że jesteśmy zdolni patrzeć na rzeczywistość, że nie uciekamy od rzeczywistości. Do was należy decyzja co zrobicie. Wiara, która nie jest doświadczana z całą jej ludzką opłacalnością, wiara nie uznana za dotyczącą wymagań życia – jak mówi Ksiądz Giussani – długo nie potrwa. Dlatego dziś nie tyle rozgrywa się kwestia wrażenia, jakie na nas wywierają sprawy czy rzeczy. Pierwszą kwestią jest wiara w Jezusa Chrystusa. „Kiedy Syn Boży powróci, znajdzie jeszcze wiarę na ziemi?” (Łk 18, 8).

6/ Do pewnego stopnia już to wytłumaczyłeś. Ale chciałabym, abyś pogłębił sprawę czułości. Ponieważ wczoraj dokładnie opisałeś coś, co mnie się zdarzyło w tych miesiącach, mianowicie przejście z odrętwienia lockdown w sytuację, która się realnie wydarzyła i pozwoliła, że się ocknęłam. W pracy, podczas konfrontacji dotyczącej oceny performance personelu przedsiębiorstwa, dwóch młodych ludzi, moich podwładnych, stwierdziło, że im nie pomogłam w kilku sytuacjach i w związku z tym nie osiągnęli wytyczonych celów również z mojej winy. Są młodzi, a więc to dość normalne, że nigdy nie jest ich wina; ale mnie z nóg zważyło, ponieważ okazało się oczywiste, że zaufanie z ich strony, które starałam się zbudować, nie dojrzało. A potem zdałam sobie sprawę, że co do niektórych rzeczy mieli rację. Co się stało? To, że moje poczucie własnej wartości w mgnieniu oka przepadło, a z nim wszystko to, co jest budulcem mego życia: powołanie, preferencja Chrystusa w stosunku do mnie. Dodajmy do tego przyjaciół, którzy nie mogli nic zrobić z tym moim „nic nie jestem warta, bo spudłowałam”. Oto moja definicja samej siebie w tamtych dniach: moja wartość pokrywała się z tym, co potrafiłam czy nie potrafiłam zrobić. W następnych dniach jedyną rzeczą, która mnie nieco na nogi postawiła, była pogawędka z szefem. Ponowił on słowa szacunku dla mnie, a nawet pomógł mi zobaczyć pomyłki. Ale to już mi starczyło. Od tej chwili zaczęła się we mnie praca na temat czułości, o której mówisz w drugim rozdziale Blasku oczu. Powiedziałam sobie: „A jeśli sprawy w pracy miałyby nadal kuleć? Zmienię

pracę? Nauczę się? Na tym się kończy? Inaczej: ja zbiegam się z tym, co potrafię robić? To niemożliwe. Wszystko we mnie zgrzyta na samą podobną myśl". W tym samym rozdziale cytujesz Jana Pawła II: „Czułość jest kunsztem odczuwania człowieka w całej jego pełni". Jak tego się można nauczyć? A nade wszystko, jak to może się stać pewnością, niewzruszoną wobec rozczarowania samym, samą sobą? Dziękuję.

Carrón. Staje się pewnością; ale jedynie, gdy kroczymy drogą, którą opisałaś. Kiedy poniosłaś jakąś klęskę, kusi cię, by się osądzać: „Nie wartam złamanego grosza, bo przegrałam", dlatego, że definicja siebie samej związana jest jedynie z tym, co potrafisz zrobić, z twoim sukcesem. Stawiając czoła okoliczności, powoli wychodzi na jaw twoja samoświadomość, co myślisz o sobie. Czasami, jak tym razem, ma się szczęście znaleźć szefa, który zauważa przykre zakłopotanie i ma w zanadrzu pociechę. Ale pociechy za trzy grosze nie starczą, nawet ze strony szefa. No więc, do czegoś doszła? Do czegoś, czego dotąd, nie wiem czy i na ile, byłaś świadoma: że ty nie zbiegasz się, nie pokrywasz się z tym, co robisz. Pojmujesz? Masz teraz na sobie takie spojrzenie, o którym dotąd ci się nie śniło. I dlaczego Chrystus ci nie oszczędził tej całej drogi? Bo chce cię raz na zawsze wyzwolić z utożsamiania się z twoimi sukcesami. Nie znaczy to, że w życiu Ruchu nigdy nie słyszała, iż wartość naszego JA nie zbiega się z rezultatem akcji; ale co innego jest zrozumieć to jako abstrakcyjną doktrynę, a co innego doświadczyć tego do tego stopnia, że ta prawda przeniknie aż po twe trzewia, stając się samoświadomością. Toteż – jak mówi Ksiądz Giussani – jeśli taki trud zostanie ci oszczędzony, owa czułość nie jest w stanie przeniknąć twojej samoświadomości, nie wzbudzi wibracji twego rozumu. Natomiast kiedy czułość wobec ciebie staje się częścią skarbu twego doświadczenia, nie musisz już czegokolwiek w tobie ganić, czy od czegoś odwracać oczu, aby móc postawić następny krok, bo zostaje ci dany kunszt patrzenia na siebie w całej twej pełni, jak mówi Jan Paweł II. Taka pewność rodzi się powoli, z czasem. A kto nie idzie szlakiem, któryś ty zaczęła sondować, może zapomnieć o podobnej pewności; nikt mu nie jest w stanie oszczędzić tej drogi. Na tym polega przygoda życia, jego urok, nawet gdy sprawy są odporne, nawet gdy ktoś przegrywa. Gdy zorientuje się, że nie jest na wysokości zadania, a szef go pociesza i chwali, zauważy w końcu, że to nie starczy, że to zbyt mało w porównaniu z bezmiarem duszy (*por. Leopardi*), w porównaniu z ogromem człowieczej potrzeby czułości. Jeśli jestem entuzjastą dla Księdza Giussaniego, to właśnie z tego powodu – bo mnie poprowadził ku takiemu doświadczeniu życia, które ty zaczynasz przeczuwać. Jeśli pociąga cię przygoda, coraz bardziej odkrywać będziesz rzeczywistość. Jeśli natomiast napada cię głupi strach i uciekasz niczym ciura na tyły, kryjesz się w jakiejś bańce, by w ciepélku przeczekać i by żadne wyzwanie cię nie rozniosło, ty zdecyduj, co cię obchodzi: udusić się – czy brać udział w przygodzie. Co do mnie, nie ma porównania! Możemy, żyjąc, przegrać życie – jak mówi Eliot, lub możemy je zdobyć żyjąc. Gdzie tkwi różnica? Nie w tym rzecz, że jednym to, a innym coś innego się zdarza. Wszystkim zdarzają się rzeczy podobne do tych, które sobie opowiadamy. Ale wielu, nie mając dostatecznej wolności, odwagi dla stawienia im czoła, szukają ucieczki w coś, co sobie wyobrazili, aby ukryć własną porażkę, wymyślając argumenty niczym epitafia na ich nagrobkach. Zamiast z wymaganą śmiałością stawiać im czoła. Chrystus przyszedł, aby wprowadzić w świat, wzbudzić nowe stworzenie, które się nie zatrzymuje, nie blokuje przed ludzkimi wyzwaniami. Ale jedynie, gdy wpuścisz Chrystusa w najtajniejsze głębie ducha i ciała, będzie ci mógł dać tę pewność, której w życiu potrzebujesz. Masz teraz, po stawieniu czoła tej sytuacji, nieco więcej człowieczeństwa, niż gdyby ci to było oszczędzone. Gdybym się nie przyjrzał wielu rzeczom w moim życiu, gdyby mi oszczędzono tego, tamtego i jeszcze tamtego, nie byłbym akurat tym, kim teraz jestem. Dlatego zawsze z entuzjazmem patrzałem na to wszystko, czego Tajemnica mi nie oszczędzała; nie dlatego, żebym niczego innego nie miał do roboty. Ale dlatego że Tajemnica żarliwie kocha moje i twoje przeznaczenie, niczym matka, która chce, by syn wzrastał; i po to nie oszczędza mu żadnych trudów życia, lecz towarzyszy mu, aby stał się zdolny do przeżywania przyszłych sytuacji, w jakich się znajdzie i co do których mama nie będzie już mogła decydować. W ten sposób wspomaga go w stawianiu się mocnym i zwartym, gotowym stawiać czoła wyzwaniom. Istnieją dwa rodzaje towarzystwa: jedno chce ci oszczędzić relacji z rzeczywistością, drugie prowadzi cię do zwycięstwa. Do was należy decyzja, które towarzystwo wam odpowiada. Zawsze znajdzie się ktoś

gotowy was pocieszać, ale to nie starczy, by żyć. Jeśli nawet może się okazać użyteczne, nie jest wystarczające. W tym wyborze, w tym dramacie rozgrywa się decyzja co do życia.

Ksiądz Michele. Przeczytałem ostatnie nadesłane pytanie:

<<Cześć, witam wszystkich. Od niemal dwunastu lat choruję na SLA [stwardnienie zanikowe boczne], ale nie jestem smutna z powodu tej okoliczności. Wybrał ją dla mnie Jezus i stała się okazją do odkrycia mojej wiary. Ale jestem niespokojna. Tyle myśli mnie napada, że często mówię Jezusowi: „Weź Ty nieco tych moich myśli”. Myślę o moim domu, co się z nim stanie po mojej śmierci, myślę o moich ukochanych książkach starannie zebranych przez lata, myślę o moich dzieciach, o tych, co są bez pracy, myślę o wnukach, którzy wiarę stracili, i tak dalej. Dlaczego jestem tak niespokojna? Dlaczego nie ufam Panu? Dzięki za wszystko>>.

Carrón. Jesteś niespokojna dlatego, że żyjesz ze świadomością, iż wszystko jest okazją, wszystko stało się okazją, również okoliczność, na którą Tajemnica pozwoliła, SLA. Choroba nie okazała się twoim wrogiem – jak to jasno widać, kiedy cię odwiedzamy –, lecz zdarzyła się po to, abyś rosła. Co sądzisz o tej niewiadomej, o twym niepokoju w stosunku do twoich dzieci i wnuków? Problemem nie jest, czy i jak możesz oszczędzić im trudu w okolicznościach, które Tajemnica dla nich wybrała, bo i tobie to nie zostało oszczędzone. Problem tkwi w tym, abyś zauważyła i uznała, że masz w swoim doświadczeniu obiektywne racje, by zaufać, powierzyć się. No i czy oni się powierzą, widząc coś podobnego w twoim życiu. Oto twój wkład jako matki i babci. O czym świadczysz? Co im ofiarujesz? Jaki klucz od dwunastu lat dajesz im wszystkim w ręce, poprzez sposób, w jaki przeżywasz swoją chorobę? Oto jest klucz: tylko jeśli powierzą się Temu, któremu ty się powierzasz, wówczas jakakolwiek okoliczność, nawet SLA, może stać się miejscem życia. Jeśli zaszło w tobie coś takiego, dlaczego się martwisz i niepokoisz o twoje dzieci i wnuki? On o tym pomyśli, żeby i jak objawić Swoją odpowiedniość i Swoją odpowiedź. Do nas należy jedynie ciekawość – „Jak Chrystus z nimi sobie poradzi? Jak odpowie na mój niepokój o najdroższe mi osoby?” –; bośmy przedtem dostrzegli, jak z nami sobie poradził.

Zakończę lekturę tekstu, który mi znacząco dotrzymywał towarzystwa w ostatnim okresie, a który mówi właśnie o tym wszystkim: także Chrystusowi prób nie oszczędzono. Tekst wielkiego teologa – von Balthasara. Chrystusowi niczego nie oszczędzono. I właśnie w chwili, kiedy stanął przed wyzwaniem męki i śmierci, nawet ta okoliczność stała się okazją, w której mógł przed wszystkimi pokazać, jak to i w tobie widzimy, przebogatą zawartość i żarliwość Jego relacji z Ojcem, więzi wyrażonej w powierzeniu się bezgranicznym, niewyobrażalnym.

Pisze von Balthasar: „*Ta [Jezusowa] pierwotna i autentyczna ufność w Ojcu pokładana, nie przyćmiona żadnym podejrzeniem czy wątpliwością, opiera się na komunii Ojca i Syna w Duchu Świętym: Duch podtrzymuje w Synu żywą i niewzruszoną ufność [w stosunku do Ojca]. Stąd każde rozporządzenie Ojca – choćby przekształcenie osobistej rozłąki w ostateczne opuszczenie [jak to się w końcu zdarza] – będzie zawsze tym, co wypływa z miłości [Ojca], której teraz, gdyż Syn stał się człowiekiem, trzeba będzie odpowiedzieć ludzkim posłuszeństwem*”. W tym tkwi korzeń zwycięstwa Chrystusa nad nicością. Jego styl życia jako Syna to właśnie owo zwycięstwo nad nicością, o którym ty zaświadczasz przed twymi dziećmi, twymi wnukami i nami wszystkimi. To jest zadanie, do którego jesteśmy wezwani w tym dramatycznym momencie historii. Do tego tematu powrócimy dziś po południu.

Dziękuję.

Notatki z Nauki Księdza Juliána Carróna

Sobota po południu, 8 sierpnia 2020

*Na wejście: Ludwig van Beethoven – Symfonia nr 5; Spirto Gentil CD 11**

La notte che ho visto le stelle (Noc kiedy widziałem gwiazdy)

Kiedy ostatni raz zdarzyło się nam coś, co sprawiło, że spać nie mogliśmy?

Bo właśnie o tym mówimy. O czymś, co się wydarza, nieoczekiwane, i bierze w posiadanie całe nasze człowieczeństwo. Jeśli tak nie jest, pozostajemy pływającymi, błędnymi minami, jak wszyscy inni, niezdolni do tego, by sami siebie wydrzeć z nicości. Tutaj rzucone jest nam wyzwanie! Jak mówiła nasza przyjaciółka z Brazylii, to nie kwestia gadania o nicości. O co tu chodzi? Tu chodzi o sprawdzenie, jak to się zdarzyło, że któregoś dnia zostaliśmy porwani i do takiego stopnia wstrząsnęło naszym życiem, po brzegi nagle przepełnionym, że nam mowę odjęło. Tu się wskazuje na doświadczenie, na coś egzystencjalnego; i nie przeprowadzamy analitycznych wywodów czy niekończących się dyskusji, które zakrywają fakt, że w gruncie rzeczy nic nas nie porwało, które ukrywają nasz regres, „cofanie” się, jak mówi Gaber.

W dzisiejszym popołudniowym wystąpieniu postaram się zarysować szlak, na którym poszukamy odpowiedzi na pytanie: co nas wyrывa z nicości? Będzie to pomocą w lekturze całości tekstu, czego naturalnie uczynić nie możemy tego popołudnia, książki *Blask oczu*.

Trzymajmy się tego, cośmy powiedzieli wczoraj wieczorem, a czego ranne Spotkanie Pytań okazało się potwierdzeniem. Możemy należeć do Bractwa Świętego Józefa, możemy uczestniczyć w życiu Kościoła, ale to nie zapobiega, iż tyle razy doświadczamy, że nasze życie jest, jak życie wielu innych, igraszką fal, wysane przez lej, który nam uniemożliwia być sobą.

Kwestia dotyczy pytania, imperatywu!, Jezusa: jakież zysk osiągnie człowiek, gdy zdobędzie cały świat, a zrukuje, zgubi siebie samego? (por. *Mt 16,26*).

Bo możemy wszystko osiąść, możemy osiągnąć nasze cele zawodowe, zrealizować cele w sferze uczuciowej, dopełnić projektów; a przecież okazuje się, że nic z tego nie jest w stanie nas porwać, pochłonać. Tu staje się jasnym, że nasze człowieczeństwo, co do którego nalegam tak bardzo – jak i dziś rano widzieliśmy –, jest granicą nie do ominięcia, progiem, na którym możemy rozpoznać czy i kiedy natknęliśmy się na odpowiedź, której poszukiwaliśmy. Ileż to razy odczuwamy nagłą, przemożną potrzebę pełni – pełni, której serce nie może nie pragnąć. Ale nasze próby pochwycenia czegoś okazują się zwodnicze – nic nas nie przykuwa, nie pociąga. Trudno tego nie widzieć. Nie starczą chrześcijańskie przemowy, nie starczą konwencjonalne rytuały, nic nas nie wciąga i nie porywa. Bo to nie jest natura chrześcijaństwa. Dlatego to – abyśmy zostali jak magnesem przyciągnięci – Tajemnica nappełniła, jak mówi Benedykt XVI, pojęcia ciałem i krwią.

„*Caro cardo salutis*” (*Tertulian*). Jedynie coś cielesnego, z ciała i w historii, może nas dostatecznie przyciągnąć i zapobiec zwycięstwu w nas nihilizmu, jakkolwiek go można określić. Jeśli nie odpowiada wam słowo „*nihilizm*”, znajdźcie jakieś inne; i tak pozostanie fakt, że możemy całymi dniami żyć niczym liście tu i tam rozwiewane i nic nie jest w stanie nas pozbierać. Wtedy życie się staje jedną wielką nudą i jest coraz bardziej

*Początek Symfonii jest wtargnięciem wydarzenia. Cały dramat orkiestry rozgrywa się począwszy od wydarzenia tych czterech wstępnych dźwięków, które nieprzerwanie się potem pojawiają. W nich wyraża się nasze przeznaczenie, w toku życia jakże często przetykane poczuciem zagubienia, oszołomienia, klęski i smutku, przeznaczenie ukazujące się nam nieraz w swym najcięższym aspekcie – w formie próby czy pokusy” (*Ksiądz Giussani*).

nieznośne. A w momencie, gdy życie swymi gwałtownymi potrzebami rzuca nam w twarz rękawicę, możemy się zorientować jak wszystko okazuje się bezsilne i płone.

Szkopuł w tym, że wychodząc jedynie od doświadczenia możliwe jest odkrycie tego, co zwycięża nicość. Kwestia polega na przydybaniu, zaskoczeniu, znalezieniu tego, co jest do takiego stopnia odpowiednie, że, jak w piosence, spać odtąd nie możemy. Nie możemy już uniknąć, że Tajemnica naciera i zagarnia nasze życie, że Tajemnica nas porywa, wstrząsa nami do głębi trzewi i rozżarza nasze pragnienie. Właśnie dlatego, że, w tej samej chwili gdy pozwala nam doświadczyć owej niewyobrażalnej odpowiedniości, pozwala też wyłonić się całej potędze naszego pragnienia. Jedynie zderzenie się z niezwykle obecnością może po brzegi napęlić przepaść, którą Miłosz nazywa „*otchłanią życia*”.

My się codziennie natykamy na wiele obecności w ciele; ale nie każde ciało, nie jakakolwiek obecność w ciele niesie ze sobą coś odpowiedniego do naszych oczekiwań. I nie jest w stanie przyciągnąć naszego życia, naszego JA.

A więc, co rzeczywiście może zwyciężyć nihilizm? Wyłącznie bycie pochwyconymi przez jakąś obecność, przez obecność w ciele, która niesie ze sobą coś, co jest odpowiedzią na pełnię naszych oczekiwań, na całe nasze pragnienie, na całą naszą potrzebę miłości i czułości. Jeśli nie zajdzie takie doświadczenie, z naszej nicości się nie wydobędziemy; choćbyśmy byli kulturalnie wykształceni i religijnie wygadani, choćbyśmy byli nader aktywni na wielu polach, skończy się na tym, że, owszem, mówić będziemy o Chrystusie, a będą to puste słowa. Z tego powodu Benedykt XVI twierdzi, że tylko „*we Wcieleniu [Słowa] Odwieczny Logos związał samego Siebie z Jezusem w taki sposób, że [...] [poprzez człowieczeństwo Jezusa], przez Jezusa człowieka*” Bóg nas dotyka. Dlatego Wcielenie Chrystusa, Bóg, który staje się człowiekiem, pozostaje granicą, która biegnie w poprzek i określa historię ludzkości i każdego człowieka. I nic Go już nie będzie mogło z niej wyrzucić. To jest ten ogromny wkład, który wniósł Ksiądz Giussani: dał nam do zrozumienia, że chrześcijaństwo sprowadzone do przemówień i reguł nikogo nie interesuje. Tylko w ciele – mówi Ksiądz Giussani – możemy rozpoznać Obecność Słowa, które ciałem się staje. Jeśli Słowo stało się ciałem, w ciele Je odnajdujemy. I kto to przechwytuje, spostrzega, że znalazł się w decydującym momencie swojego życia. Jest coś przedtem – i jest coś potem. Widzimy to w chwili, gdy się wydarza. Jak opisuje perykopa ewangeliczna, którą przytoczyliśmy niedawno: kobieta, ze swymi błędami i grzechami, która szukała dopełnienia na setki sposobów, porwana bezgraniczną czułością, ludzką obecnością, bliskością Jezusa, nie mogła nie być porwana, wyniesiona ku Niemu. Przeczytajmy ten fragment:

“Jeden z faryzeuszów zaprosił Go do siebie na posiłek. Wszedł więc do domu faryzeusza i zajął miejsce za stołem. A oto kobieta, która prowadziła w mieście życie grzeszne, dowiedziawszy się, że jest gościem w domu faryzeusza, przyniosła flakonik alabastrowy olejku, i stanąwszy z tyłu u nóg Jego, płacząc, zaczęła łzami oblewać Jego nogi i włosami swej głowy je wycierać. Potem całowała Jego stopy i namaszczała je olejkim. Widząc to faryzeusz, który Go zaprosił, mówił sam do siebie: «Gdyby On był prorokiem, wiedziałby, co za jedna i jaka jest ta kobieta, która się Go dotyka, że jest grzesznicą». Na to Jezus rzekł do niego: «Szymonie, mam ci coś powiedzieć». On rzekł: «Powiedz, Nauczycielu!». «Pewien wierzyciel miał dwóch dłużników. Jeden winien mu był pięćset denarów, a drugi pięćdziesiąt. Gdy nie mieli z czego oddać, darował obydwoim. Który więc z nich będzie go bardziej miłował?». Szymon odpowiedział: «Sądzę, że ten, któremu więcej darował». On mu rzekł: «Ślusznie osądziłeś». Potem zwrócił się do kobiety i rzekł Szymonowi: «Widzisz tę kobietę? Wszedłem do twego domu, a nie podałeś Mi wody do nóg; ona zaś łzami oblała Mi stopy i swymi włosami je otarła. Nie dałeś Mi pocałunku; a ona, odkąd wszedłem, nie przestaje całować nóg moich. Głowy nie namaściłeś Mi oliwą; ona zaś olejkiem namaściła moje nogi. Dlatego powiadam ci: Odpuszczone są jej liczne grzechy, ponieważ bardzo umiłowała. A ten, komu mało się odpuszcza, mało miłuje»” (Łk 7,36-47).

Kto by nie pragnął, aby na nim spoczęło spojrzenie pełne czułości, jak to się wydarzyło owej niewieście, kiedy ogarnęło ją spojrzenie Jezusa? Cokolwiek była dotąd uczyniła, jakkolwiek dotąd w życiu się sprawowała, nie okazało się to zawadą. Po lekturze tej stronicy Ewangelii widać, że żadna z okoliczności dziś rano przytoczonych nie musi się stać przeszkodą dla nas.

Czego potrzebowała ta kobieta, aby być pochwyconą, porwaną Jezusowym spojrzeniem?

Jedynie swojego człowieczeństwa – poranionego, schorowanego, jak u każdego z nas –. Kiedy tego Człowieka spotkała, jej człowieczeństwo, ze wszystkimi swoimi błędami i winami, całkowicie doń przywarło. Do tego stopnia, że nic jej nie zdołało powstrzymać: kobieta przeciwstawiła się wrogości otoczenia, pominęła potępiające uwagi wszystkich biesiadników, i podbiegła do stóp Jezusa, by je łzami obmyć.

Widzicie jak może być pokonana nicość? Jak wszyscy, miotana tu i tam, ta kobieta, w nieprzewidzianym momencie, absolutnie upragnionym, gdzieś głęboko oczekiwanym, a jednocześnie niemożliwym do przewidzenia, została tak olśniona, że miała zuchwałą śmiałość bycia sobą wobec wszystkich, pokazania swego zachwyty, nic sobie z tego nie robiąc, co o niej myślą. I pokazała wszystkim co jest w stanie zwyciężyć nicość, co ma moc zwycięstwa w rozerwanym na wsze strony życia. Obecność Jezusa tak potężnie porwała jej człowieczeństwo, poranione, grzeszne, że nic już nie było przeszkodą.

Od kiedy Jezus pojawił się w historii, ci, którzy Go spotykają, nie mogą nie poczuć wyzwania rzuconego ich gotowości bycia dotkniętym i przyciągniętym przez Niego. Wspomnieliśmy o naszych ograniczeniach. Ale to nie ma nic wspólnego z ograniczeniami, ze zdarzeniami z przeszłości, z tym, cośmy nabroili. Wobec takiego z Nim spotkania, to wszystko się już nie liczy. Bo Jezus odtąd może przygarnąć nas właśnie takimi, jakimi jesteśmy.

Jakież wrażenie wywołują słowa Księdza Giussaniego, kiedy mówi, że żadna istota ludzka nie czuła się tak radykalnie potwierdzona w swej wartości jak ten, kto poczuł na sobie spojrzenie włączone w tok historii przez tego Człowieka – Jezusa z Nazaretu, niezależnie od wszelkich swoich sukcesów czy porażek. Z tym Swoim spojrzeniem, z zawrotną mocą uznającym ludzką naturę, Jezus zwraca się do niewiasty, która obmyła Mu łzami stopy: "Twoje grzechy są ci odpuszczone", już się nie liczą. Nad wszystkim przeważa spojrzenie. Całe zło, wszystkie błędy przeszły na plan dalszy. On jest dla niej Obecnością dominującą. Zdarzenie tak nieodparte, oszałamiające, że biesiadnicy poczynają mówić: "Kto to jest, że nawet przebacza grzechy?". A On mówi do kobiety – jakby Go nic nie obchodziło niedowiarstwo całej reszty naokoło Niego i odrzucenie tych, którzy Go dziś nie uznają – i mówi do tych, którzy dają się jak ona pociągnąć: "Twoja wiara cię zbawiła; idź w pokój!". Pierwszym wydarzeniem jest bycie pochwyconą, wyrwaną z jej nicości, z miotania się bez ładu ni składu. A zaraz potem jest Jezusowe potwierdzenie wartości, doświadczenie już w toku – uczestnictwo w zbawieniu.

Tym więc, co ewangeliczną grzesznicę wyrwało z nicości, nie były jej przemyślenia, postanowienia, jej wysiłki. Była Obecność, która okazała jej tak żarliwą miłość, taką preferencję dla jej osoby, dla jej JA, że podbiła jej serce. Wstrząsnęła jej życiem. To spotkanie było rewolucją: nie miały już dla niej znaczenia spojrzenia nikogo innego, zdefiniowana była Osobą Jezusa, Jego spojrzeniem, Jego Obecnością z krwi i ciała. Nikt w życiu tak na nią nie patrzył, jak ten Człowiek. W przeciwnym razie, czyż by się odważyła wejść do tego domu i z taką śmiałością stawić wszystkim czoła? Obmyć Mu nogi swymi łzami, osuszyć włosami? To dowodzi – nie słowa, nie wyjaśnienia –, że ktoś został wydarty ze szponów nicości! To przemawia, i na zawsze przemawiać będzie, do każdego człowieka, którym nicość zawładnęła, a który niczego innego nie oczekuje, jak być z tego wyzwolonym. A wyzwolenie przyjąć może jedynie od Niego, Tego, który to uczynił owej kobiecie.

Jaka pewność ją ożywiła, że stawiała czoła wrogim spojrzeniom faryzeuszy i całego miasta! Kiedy brak takiej pewności, kończymy w okowach komentarzy, własnych i cudzych. Natomiast te nasze i cudze uwagi i docinki są niczym w porównaniu z Jego spojrzeniem na mnie. Tracą wszelką władzę nade mną, w porównaniu z tym nieodpartym przyciąganiem. Te szemrania, komentarze mogą mi być nie odjęte, ale staną się bezsilne w ich zdolności blokowania procesu myślenia.

Możemy, słowami von Balthasara, powiedzieć, że chodzi tu o "*pewność opierającą się nie na oczywistości właściwej inteligencji ludzkiej, lecz na objawionej oczywistości prawdy Boskiej: nie na tym, żeśmy coś pochwycili rozumem, ale żeśmy my pochwyceni zostali*". Nie na tym, że ona pojęła tego Człowieka, ale że On ją w pełni zrozumiał, porwał, przygarnął.

Nie dziwi mnie, że ten wielki teolog, von Balthasar, powiedział wiele lat temu, iż taka oto jest żywotna kwestia dzisiejszego chrześcijaństwa. Jeśli ono tym nie jest – doświadczeniem bycia

porwanym i, mocą Jezusa, przywarcia do Niego, jak tamta kobieta –, chrześcijaństwo nikogo nie będzie interesować. Nas jako pierwszych, a co dopiero innych! Możemy podtrzymywać przy życiu jakieś rytuały, dokonywać trochę “religijnych” aktów, zbierać się, by wypełniać życie gestami związanymi z przynależnością do, powiedzmy, klubu: ale nic z tego nie będzie w stanie nas porwać i pochwycić trwale za serce. Stąd Balthasar wskazuje, że dzisiaj wiara może być wiarygodna dla otaczającego nas świata – i dla nas samych – jedynie *“gdy siebie samą uważa za wiarygodną [godną i wartą wiary]; jeśli więc nie oznacza [...], wpraw i ostatecznie, ‘utrzymywania, że są prawdziwe pewne twierdzenia’, które, niepojmowalne dla ludzkiego rozumu, mogą być zaakceptowane tylko w posłuszeństwie autorytetom. Przeciwnie, wiara, mimo całej transcendencji Boskiej prawdy, co więcej, właśnie poprzez nią, prowadzi człowieka do zrozumienia tego, czym, Kim prawdziwie jest Bóg; a w tym zrozumieniu [...] również do zrozumienia samego siebie”*.

Poprzez cielesność Obecności, ewangeliczna niewiasta doświadczyła Boskiej prawdy. Pewność i wiara tej kobiety *“oparły się na objawionej oczywistości prawdy Boskiej”*, na tej zwycięskiej sile przyciągania, na z niczym nie porównywalnym spojrzeniu Jezusa, które ją potwierdzało i porywało, na, nigdy dotąd tak pełnym, doświadczeniu odpowiedniości do jej nagłębszych, źródłowych pragnień. Tak potężna jest ta oczywistość, tak promienne *“to objawienie chwały”*, tak przemożny blask prawdy, *“że nie ma ona potrzeby jakiegokolwiek wytłumaczenia poza nią samą”* (von Balthasar). Od początku swej misji wychowawczej, Ksiądz Giussani, świadom jak ta właśnie ewidencja jest dziś decydująca dla bezsporności wiary, podziela to, co podkreślił von Balthasar: *“Głęboko byłem przekonany, że wiara, której próżno szukać w bieżącym doświadczeniu, której nie można zweryfikować [przez doświadczenie odpowiedniości], wiara bezradna, bezowocna wobec pytań i wymogów, nie byłaby w stanie wytrwać w świecie, w którym wszystko, wszystko!, było i jest odwrotnością wiary”*.

Nietrudno zrozumieć, że Ksiądz Giussani, pełen entuzjazmu dla doświadczenia swego życia, nie mógł nie powiedzieć na Placu Świętego Piotra, wobec całego Kościoła: *“Tylko Chrystus ma na sercu całe moje człowieczeństwo. [...] ‘Któż zdoła kiedyś opisać miłość Chrystusową do człowieka przepętnioną pokojem?’. Te słowa powtarzam sobie od ponad pół wieku”*. Czego on doświadczył!... Jedynie gdy nasze człowieczeństwo jest w taki sposób pochwyczone i objęte, możemy prawdziwie stać się sobą. To nie zależy od naszych wysiłków, lecz abyśmy tak po prostu pozwolili się cali przyciągnąć. *“Chrystus tak jest piękny, że mnie całego porywa”* (Jacopone da Todi).

A teraz, jak my możemy doświadczyć tego samego, co grzesznica? Wyłącznie jeśli On, Chrystus, pozostaje nam współczesny. Jedynie współczesność Chrystusa może nas wydrzeć nicości. Tylko Jego Obecność, tu i teraz, może być stosowną odpowiedzią na nihilizm, na pusty bezsens, na ślepe i wrogie siły, które bez celu miotają nami na wsze strony. *“Jezus Chrystus”*, mówi Ksiądz Giussani, *“ten Człowiek sprzed dwóch tysięcy lat, ukrywa się i czyni obecny w namiocie, pod postacią odmiennego człowieczeństwa”*.

Co to oznacza? Że Jezus uobecnia się dzisiaj, staje się obecny w ciele, nie w naszych myślach, nie w naszej wyobraźni, lecz w ludziach, z którymi się zderzamy i odczuwamy tę odmienną, takie spojrzenie i zdolność odnajdywania się w rzeczywistości, wolność, śmiałość, siłę poznawczą, które nami wstrząsają. Oto jak liczni są nam świadkami, jak to możecie przeczytać w książce. Jedno takie świadectwo przytoczę, to właśnie, z którego zrodził się tytuł.

“Nie przypuszczałem, że na progu pięćdziesiątki można się odrodzić. Przeżyłem czterdzieści siedem lat w przekonaniu, że Jezus Chrystus nie jest ‘czymś’ dla mnie nieodzownym. Przez wszystkie te lata goniłem za sprawami, które nie wytrzymywały próby czasu: studia uniwersyteckie, mój zawód, rodzina. [Wszystko się może udawać; ale] ilekroć osiągałem to, co sobie za cel stawiałem, nie czułem się zadowolony i nieustannie szukałem dalszej mety. Mimo, że większości moje życie zdawało się piękne, ja miałem wrażenie, że karmiłem się czymś, co głodu nie zaspokajało. To wszystko spowodowało we mnie głęboki kryzys”. [Gdyż, jeśli wszystko dobrze idzie, a nadal czegoś brakuje, co w takim razie wystarcza?] „Czułem się niepotrzebny, a i stosunki z przyjaciółmi, kolegami, moimi bliskimi, stawały się coraz trudniejsze. Chciałem być sam. [A jednak zdarza się coś nieprzewidzianego.] Któregoś dnia, za pośrednictwem kogoś ze szkoły moich dzieci, poznałem osobę, w oczach której dostrzegłem blask”. [Czyjś blask oczu – a nie

doktryna, nie wysiłek –, blask oczu kogoś, komu dane było doświadczenie podobne do tego, co przeżyła ewangeliczna grzesznica.] *„Zrodziła się silna przyjaźń; zacząłem pragnąć towarzystwa tego człowieka. Pojechaliśmy na wspólne wakacje wraz z naszymi rodzinami. Moja ciekawość co do jego osoby rosła. Zacząłem poznawać jego przyjaciół, którzy wkrótce stali się moimi przyjaciółmi. Zacząłem brać udział w gestach proponowanych przez Ruch. Zacząłem się modlić, uczestniczyć we Mszy, spowiadać się. Nieraz sam siebie pytałem: ‘Po co to robisz?’ i odpowiadałem: ‘Dlatego, że lepiej się czuję’.”*

Nie istnieje lepsza racja, dla jakiej patrzę na siebie w odmienny sposób, akceptuję moje człowieczeństwo, patrzę z tą samą czułością, z jaką na mnie spojrzano, niż ta: „Ja lepiej się czuję!”. Wówczas żyję tą Obecnością; i towarzystwo moich przyjaciół przywołuje mnie do Chrystusa. To jest metoda, poprzez którą przekazana została i zawsze przekazywana będzie wiara: nieprzewidziane spotkanie, które ożywia pragnienie i porusza osobę do weryfikacji obietnicy niesionej przez to spotkanie, weryfikacji przez uczestnictwo w życiu wspólnoty chrześcijańskiej.

Po to, aby przechwycić, spostrzec prawdę, wystarczy, jak w powyższym wypadku, szczerza uwaga. Ale tej uwagi nie wolno brać za oczywistą. Wszystko, tylko nie pewnik! Dlaczego? Tłumaczy Simone Weil: *„Jest coś w naszej duszy, co ucieka od uwagi z gwałtownością większą od odruchów odrazy odpychającej nasze ciało od trudu. [...] Uwaga polega na zawieszeniu własnej myśli, pozostawieniu jej gotową, pustą i przenikalną przez dany obiekt”*, tak, że myśl i przedmiot mogą się wzajemnie posiąść, pojąć, przeniknąć.

Będąc posłuszny temu, co moja uwaga przechwytuje, staję się stopniowo coraz bardziej pewny; aż dochodzę do chwili, że ufam całkowicie. Dlaczego Piotr mógł ufać Jezusowi? Tylko dlatego, że wspólne życie przekonało go: gdybym nie miał ufać temu Człowiekowi, który umożliwiał doświadczenie człowieczeństwa odmiennego od wszystkich innych, komu miałbym ufać?! Wiara polega właśnie na tym uznaniu: *„Być uczciwym i uznać, prostym, czystym i przyjąć, kochającym i przylgnąć do takiej Obecności, oto jest wiara”* (Ksiądz Giussani).

Jak mówił Ksiądz Giussani na Placu Świętego Piotra, to jest łatwe, na wyciągnięcie ręki każdego, jakkolwiek mam historię, jakkolwiek życie: *„Prostota serca była tym, co pozwalało mi poczuć i uznać Chrystusa za Kogoś nadzwyczajnego, z ową natychmiastową, bezpośrednią pewnością, jak gdy się to zdarza w chwili nienaruszalnej oczywistości, niezniszczalnej ewidencji czynników i momentów rzeczywistości, które wchodzą w horyzont naszej osoby i trafiają w samo serce”*. Dopiero coś takiego wciąga i porywa życie.

A jak możemy być wprowadzeni w taki sposób życia w rzeczywistości?

Jezus żył na ziemi jak każdy z nas. Jako prawdziwy człowiek, miał do czynienia ze szczegółami, z rzeczami skończonymi, przelotnymi, doświadczył prób i cierpienia, aż po śmierć na krzyżu. Ale co Mu pozwoliło nie ugiąć się wobec cząstkowości i nie wpaść w nihilizm, w koszmar, który łudzi, że wszystko się ulatnia, i uniemożliwia, żeby coś nas przyciągnęło, zaciekało, porwało? Jak to możliwe, że Chrystus, doświadczywszy życia takiego, jak nasze, nie został i On zgnieciony przez nihilizm, mimo, że zetknął się z tym wszystkim, co my?

On przeżywał relację z każdym aspektem rzeczywistości jako wielkie wydarzenie. To mu pozwalało stawiać czoła wszystkiemu z żarliwą intensywnością, z mocą zakochanego. W doświadczeniu wielkiej miłości, cokolwiek zachodzi, wszystko się staje wydarzeniem – ciągle nam powtarzał Ksiądz Giussani, cytując Guardiniego –, każda rzecz nabiera wagi; w przeciętności szarych dni wydaje się nic nie znacząca, ale w historii wielkiej miłości staje się wydarzeniem.

Co więc sprawia, że wszystko staje się wydarzeniem? W przypadku osoby zakochanej, jest to relacja z ukochaną, ukochanym. Jaka relacja była do tego stopnia zasadnicza dla Jezusa, że określała jego podejście do rzeczywistości jako trwałe wydarzenie, nieprzerwane wynoszenie całej rzeczywistości, każdego jej szczegółu? Co mu pozwalało przeżywać rzeczywistość z taką intensywnością? Jego więź z Ojcem. Jezus nie pokładał nadziei w samopotwierdzeniu, w Swoim projekcie, w Swoich usiłowaniach; tylko wszystko przeżywał jako wielkie wydarzenie mocą Swej relacji z Ojcem. W ten sposób Jezus wprowadził do historii taki sposób przeżywania rzeczywistości, który nie kończy się nihilizmem.

Tu tkwi wielkie pytanie: jak może się stać bliskie, swojskie, dla każdego a nas, w naszej historii, to entuzjastyczne spojrzenie na świat i na samego siebie, na wszelką rzeczywistość, do tego stopnia, że nie zapadnie się w pustkę nudy? Tylko wtedy, gdy nauczymy się, gdy doświadczymy tego samego Jezusowego spojrzenia na wszystko.

Ksiądz Giussani mówi nam: „*Jeżeli człowiek nie patrzy na świat [na każdy aspekt rzeczywistości, nawet najbardziej przelotny] jako 'dany', jako wydarzenie, dar, to znaczy poczynając od, współczesnego temu człowiekowi, gestu Boga, który go nim obdarza, traci on całą swoją moc przyciągania*”.

Co czyniło odmiennym, nowym wszystko dla Jezusa? Jego relacja z Ojcem. Myśl o Ojcu stanowiła jedność z Jego stosunkiem do każdej konkretnej rzeczy czy sprawy. Podobnie jak myślenie o umiłowanej osobie nie jest oderwane od przeżywania z nią konkretnej więzi. To ukochana osoba czyni interesującą, fascynującą każdą inną rzecz. Mówi Ksiądz Giussani: „*Myśleć o Ojcu jest sposobem prawdziwym, autentyczną sztuką myślenia o sprawach i rzeczach: jest sposobem, w jaki patrzysz na twą żonę czy twego męża, na twoje dzieci, pracę, na dobro czy zło, które ci się wydarza, na siebie samego*”. Jak to ujął wspomniany już przeze mnie chory: „*zatrzymać się, pomyśleć i spojrzeć w odmienny sposób*”. Kiedy coś takiego nam się zdarzy, nie jesteśmy już w stanie patrzeć na cokolwiek jak tylko w odmieniony sposób. Andrzej, po spotkaniu z Jezusem, wraca do domu: żona poczynna zdawać sobie sprawę, co mu się wydarzyło – poznaje to po tym, jak on ją objął.

To czyni wszystko zachwycającym; ale, gdy z upływem czasu taka łączność zanika, wszystko staje się nudne. Kwestią teraz jest sposób, w jaki możemy się nauczyć, jak stać się synami na miarę Jezusa.

Jak możemy się stać synami w Synu? Uczniowie przez Jezusa zostali wprowadzeni w świadomość, w rzeczywistość Jego relacji z Ojcem. „*Wszystkim tym, którzy Je [Słowo] przyjęli, dało [Ono] moc, aby się stali dziećmi Bożymi*„ (J 1, 12).

A my, dzisiaj, przez kogo możemy być wprowadzeni w to samo doświadczenie? Tym, który nas wprowadza w zażyłość z Ojcem, jest zawsze Chrystus. Ale jak?

Chrystus, jak już tłumaczyliśmy, wkracza dzisiaj w życie, przygarniając nas do Siebie, poprzez obecność, określoną, przekonywającą, dzięki której mogę doświadczyć tej samej więzi z Nim, której doświadczyli pierwsi, co Go spotkali. A więc, to w Synu, w relacji z Chrystusem obecnym tutaj i teraz w odmienionym człowieczeństwie, stajemy się synami, córkami, dziećmi, uczymy się mówić „Ojcze”, uczymy się odnosić do rzeczywistości tak, jak to robił Jezus, z Nim obecnym w naszych spojrzeniach.

Syn czyni nam bliską, intymną Tajemnicę Ojca poprzez Kościół, staje się dla nas Wydarzeniem dzięki Łasce, dzięki spotkaniu z charyzmatem, z darem Ducha Świętego. Charyzmat jest sposobem, w jaki Duch Chrystusa pozwala nam spostrzec Jego nadzwyczajną Obecność i nam daje moc przyłgnięcia doń z prostotą i miłością.

Jakiś jeden szczegół uzdalnia nas do nowej więzi z rzeczywistością. Dla nas ma on imię i nazwisko: Luigi Giussani.

Poprzez ten dar od Boga, spoczęło na nas takie spojrzenie, dosięgnęło nas takie ojcostwo, że porwało nas i pozwoliło w sposób unikalny doświadczyć wiary w relacji z rzeczywistością.

Jak już w tym roku przypominaliśmy, właśnie to nazywamy autorytetem. „*Autorytetem jest osoba, którą widząc, zdajemy sobie sprawę, że to, co mówi Chrystus, jest zgodne z naszym sercem. Przez to lud jest prowadzony*” (Ksiądz Giussani).

Stając się synami, możemy zaczerpnąć z korzenia ojca. A jeśli temu będziemy posłuszni, także i my będziemy mogli się zadziwić, że przeżywamy więź z rzeczywistością z tym samym entuzjazmem, któryśmy widzieli w życiu Syna, z tą samą nie mającą sobie równych wolnością, z tym samym uniesieniem. Autorytet to ojcostwo obecne tu i teraz. Mieć ojca na co dzień, trwale. Tu chodzi o obdarzanie życiem teraz. Stąd, jeśli się teraz nie zdarza, staje się wspomnieniem z przeszłości, nie ma mocy pociągania nas, porwania, nie umożliwi nam nowego, odmiennego doświadczenia rzeczywistości.

Bez takiego obdarzania nas życiem, bez takiego rodzicielstwa, bez takiego ojcostwa, w teraźniejszości, nie może się w nas stać żywą świadomość więzi z Ojcem. Żaden wysiłek nie zdoła nas wyrzeć nicości. Tu widać, że autorytet jest fundamentalnym czynnikiem budowy życia.

Autorytet w pojęciu świata – władza – jest alienującym despotyzmem, i niczego nie buduje. Natomiast autentyczny autorytet jest niezbędnym czynnikiem dla wzrostu naszego JA; bo autorytet, w pewnym sensie, jest moim najprawdziwszym JA.

Niestety, dzisiaj jesteśmy w takiej sytuacji kulturalnej, że autorytet jest odczuwany jako przeszkoda dla wzrostu JA, a nie jako czynnik jego rozwoju. Z powodu tej obcości, promowanej i przeżywanej – zwraca uwagę Ksiądz Giussani – *„dzisiejsza kultura twierdzi, że niemożliwe jest poznanie, przemiana samego siebie i rzeczywistości ‘jedynie’ idąc za jakąś osobą. Osoba, w naszej epoce, nie jest widziana jako narzędzie poznania i przemiany. [...] A przecież Jan i Andrzej, pierwsi dwaj, którzy natknęli się na Jezusa, właśnie idąc śladem tej nadzwyczajnej osoby, nauczyli się nowego poznawania, nauczyli się przemieniać samych siebie i rzeczywistość. Od chwili tamtego pierwszego spotkania metoda zaczęła się rozwijać w czasie”*.

Cały problem życia polega na dostrzeżeniu na naszej drodze osób, które tak nas wspomagają we wzroście, które są tak decydujące w naszym sposobie ustosunkowywania się do rzeczywistości. Bo tylko to, jak wówczas, może nas wyrwać z nicości. Doświadczenie nowości obecnej dzisiaj, obecności w ciele, w której można odkryć, że to, co mówi Chrystus, jest prawdą, całego mnie porywa i pozwala, że poczynam żyć w sposób nowy rzeczywistością i nie miazdzy mnie nicość. Tylko to może przekonać, w obecnej nihilistycznej kulturze, dzisiejszego człowieka, ludzkość, której jesteśmy częścią: spotkanie z osobami tak potężnie obecnymi w rzeczywistości, że przez nią porwanymi i wyniesionymi. Bo, jak mówi von Balthasar, *„dla świata jedynie miłość jest wiarygodna”*.